



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Franciszek Raubo

Los syna legionisty

Wspomnienia swoje poświęcam Ojcu zamordowanemu przez NKWD w 1940 roku.

Patriotyzm Ojca, jego praca, stosunek do podwładnych budzi moją ogromny szacunek, jako do Ojca, a przede wszystkim do człowieka wrażliwego na nieposzanowanie prawa i wszelkie zło.

Wyrastałem w takiej atmosferze, więc od najmłodszych lat Polska stanowiła dla mnie najwyższą wartość. Przykład Ojca rozniecił w moim sercu i umyśle poczucie patriotyzmu, dumy narodowej i nakaz moralny poświęcenia dla Ojczyzny.

1939 rok

We wspomnieniach swoich opisuję deportację rodzin polskich oraz tragedię Polaków w jednym z setek transportów, w którym uczestniczyłem.

Pierwszego września

Niespodziewane bicie dzwonów kościelnych o tak wczesnej godzinie oraz nagłe wejście Ojca w mundurze do pokoju, gdzie spałem z bratem, poderwało nas z łóżek. Ubierajcie się, powiedział Ojciec, jest wojna, Niemcy napadli na nas! Przerażony podbiegłem do okna i wypatrywałem Niemców, brat krzyknął – ubieraj się szybko, bo zaraz mogą nadlecieć niemieckie samoloty. Pośpiech był wskazany, ponieważ w linii prostej od nas do Prus Wschodnich było około 200 kilometrów.

Nie wiedziałem, co mam nakładać na siebie, wszystko leciało mi z rąk – trząsałem się ze strachu. Na podwórku zobaczyłem Ojca siedzącego na koniu. Przybyłym Krakusom wydawał komendy: „wojna – alarm bojowy – zbiórka w moim lesie”.

Dzierżawca, Adolfek „Głowacki” oraz pozostali domownicy z żywym inwentarzem biegli do lasu, oddalonego o około 1000 metrów od zabudowań.

Adolfek na polecenie Ojca rozmontował mój samolot z dachu spichlerza, aby szachownice białoczerwone nie sprowokowały do zbombardowania folwarku.

Drugiego września

Mieszkańcy folwarku wraz z inwentarzem żywym i jakimś dobytkiem ponownie przybyli do lasu jeszcze przed wschodem słońca. Ojciec z kilkoma Krakusami i bratem na skraju lasu kopali schron dla

naszej rodziny i służby w kształcie litery „Z”. Rodzina dzierżawcy ze swoją służbą kopała drugi schron po przeciwnej stronie około 350 metrów od nas, również na skraju lasu.

Do moich obowiązków należało obserwować horyzont nad lasem, odległym od nas około 4 kilometry. W wypadku zauważenia samolotów miałem uderzać prętem w lemiesz zawieszony na sęku starego, rozłożystego drzewa.

W południe żona dzierżawcy z córkami i Hanką poszły do folwarku, aby ugotować i przynieść nam obiad. Spóźniony obiad jedliśmy przed zachodem słońca na leśnej drodze, mając w polu widzenia wieś Kowale i folwarki czterech osadników wojskowych. Nagle usłyszeliśmy gdzieś za nami w lesie warkot silnika samolotu. Zanim uderzyłem w lemiesz, samolot prawie dotykając ziemi kołami leciał w kierunku naszych zabudowań. Ktoś powiedział: dlaczego leci on lotem koszącym i bez znaków rozpoznawczych polskiego lotnictwa? Pomyślałem: co on kosi? Samolot klucząc pomiędzy pagórkami i zagajnikami odleciał w kierunku zachodzącego słońca. W dalszej dyskusji ustalono, że to na pewno był niemiecki samolot szpiegowski. Wieczorem bez ojca wróciliśmy na nocleg do domu.

Trzeciego września

Później, jak zwykle, tylko ja z bratem wybraliśmy się do schronów w lesie. Dzierżawca z rodziną i służbą pozostali w folwarku. Dochodząc do lasu usłyszeliśmy huk silników i terkotanie karabinów maszynowych. Wyglądając ze schronu zobaczyłem, jak nad naszymi budynkami w jakimś uporządkowanym szyku w kierunku Lidy leciało kilkanaście niemieckich bombowców. Po przelocie samolotów dzierżawca z rodziną, służbą, końmi i krowami przybiegł do lasu. Od strony Lidy dochodziły odgłosy bombardowania, po kilkunastu minutach zobaczyliśmy powracające samoloty i fontanny wybuchów bomb w rejonie naszych i sąsiadów zabudowań. Na szczęście bomby upadły na pola i nic nie uszkodziły.

Po kolacji w obecności świadków: Władysława Klimowicza – właściciela majątku Szemiakowszczyzna, Józefa Berdowskiego, naszego sąsiada (osadnika wojskowego) i lekarza Franciszka Kuleszy z Radziwoniszek, Ojciec napisał testament.

Świadkowie proponowali, aby Ojciec wymienił w testamencie wszystkie składniki folwarku. Nie mogę tego zrobić – powiedział, ponieważ nalot niemieckich samolotów może wszystko zmienić, co napisałbym. Myślę, że pola i las pozostaną. Świadkowie powiedzieli – Kazik masz rację, po czym złożyli swoje podpisy.

Szesnastego września

Przez ostatnie trzy dni nie było nalotów, odnosiłem wrażenie, że jest to koniec wojny. Przed obiadem Ojciec przyjechał bryczką i zabrał mnie i brata na obiad wojskowy do państwa Skawińskich, gdzie żywili się Krakusi. Dostałem menażkę zupy fasolowej z mięsem, porcję jak dla prawdziwego Krakusa.

Po obiedzie jeździliśmy z Ojcem do miejsc, gdzie Krakusi ochraniali różne obiekty. Po powrocie do domu kładąc się spać byłem dumny z tego, że mój ojciec i jego podkomendni obronią Ojczyznę.

Siedemnastego września

Po śniadaniu poszliśmy z bratem do lasu zbierać orzechy i grzyby. W lesie nad słuchiwałem przyjazdu Ojca i nalotu niemieckich samolotów; nie było ani Ojca, ani samolotów. Późnym wieczorem przyjechał z trzema Krakusami i pustymi wozami.

Wszyscy domownicy dowiedzieli się o wejściu bolszewików do Polski. Ojciec powiedział między innymi, że Armia Czerwona ma walczyć z Niemcami.

Dwudziestego trzeciego września

Obudzony przez brata zobaczyłem Ojca i jego kolegów przebranych w cywilne ubrania oraz dzierżawcę z żoną. Wszyscy stali przy wejściu do naszego schronu. Żegnając się ze mną i bratem Ojciec prosił dzierżawcę i jego żonę, aby zaopiekowali się nami, ponieważ służba kilka dni wcześniej opuściła nasz dom. Nakazał, abyśmy byli grzeczni. Wracając do domu bez Ojca, zdany na łaskę rodziny dzierżawcy nie widziałem żadnej przyszłości, a każda nowa myśl rozpływała się jak mgła lub pękała jak bańka mydlana.

Pierwszego października

Rozpoczął się opóźniony nowy rok szkolny. W klasie, do której chodziłem, nie było już na ścianie godła polskiego, portretów: prezydenta Mościckiego i marszałka Rydza Śmigłego, pozostał tylko krzyż i ślady po wiszących tam portretach. W dniu tym nie poszliśmy do kościoła, nie było też modlitwy poprzedzającej lekcje. Nauczyciel pan Cizek-Duszek był bardzo smutny, sprawdzając obecność wnikliwie patrzył na każdego ucznia. Po przedłużającym się sprawdzaniu obecności nakazał wyjąć wszystkie książki, po czym powiedział, aby do szkoły więcej nie przynosić podręczników historii i geografii Polski.

Na przerwie była cisza – nie było słycać wrzasku, śmiechu i wesołego nastroju z racji rozpoczynającego się nowego roku szkolnego. Wracając do domu brat powiedział, że on nie będzie się uczył języka kacapskiego i mnie z tych lekcji będzie zabierał – nie rozumiałem dlaczego? I co to wszystko znaczy?

Trzynastego października, aresztowanie Ojca przez NKWD

Prawie codziennie po kolacji wychodziliśmy z bratem w miejsce ostatniego pożegnania się z Ojcem. Zawsze do domu wracaliśmy przed nastaniem zmroku. Idąc do domu brat powiedział – co się dzieje z Ojcem, nie przychodzi do domu, a w lesie w umówionym miejscu nie zostawia żadnych wiadomości?

Przed położeniem się do snu cicho skrzypnęły drzwi – drgnąłem – przy świetle małego płomyka lampy naftowej zobaczyłem wchodzącego Ojca. Po przywitaniu się zapytał brata, czy wszystko jest w porządku. Brat odpowiedział – tak, a ja pomyślałem, że najgorsze już minęło. Ojciec po zmianie bielizny i ubrania zaczął szykować się do wyjścia i powiedział: nie mówcie nikomu, że mnie dziś widzieliście, przyjdę po was za kilka dni.

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi do ogólnej izby i z bronią gotową do strzału wbiegło trzech bolszewików z NKWD. Głośno krzyczeli. Ojciec stał z rękoma podniesionymi do góry. We wszystkich pomieszczeniach zapalono lampy naftowe. Rewizja była dość szczegółowa – przeszukano również moje kieszenie i tornister. Przed wyprowadzeniem z domu Ojciec oddał mi swoją obrączkę i zegarek kieszonkowy. Całując mnie i brata powiedział – ktoś mnie zdradził, pamiętajcie o mnie, ja tu wrócę!

Mieszkanie opustoszało, ale po kilku minutach usłyszałem huk wystrzału z broni palnej. Wybiegłem z Ojcem. Na podwórku przed domem zobaczyłem go po raz ostatni, idącego wśród konwojentów drogą oświetloną przez samochód stojący na szosie. Stałem z bratem, czekaliśmy na odjazd samochodu, który za chwilę wygasił światła i ruszył w kierunku Wawiórki. Brat powiedział: chodź, weźmiemy latarnie naftowe i pójdziemy za Ojcem do NKWD. W NKWD w Wawiórcie powiedzieli bratu – tu Ojca nie ma – czekajcie na niego w domu. Zamiast do domu poszliśmy do wujka w Baranowcach. Rodzinie i znajomym, którzy tam byli, opowiedzieliśmy, co się wydarzyło. Ciocia powiedziała, że pozostaniemy tu do czasu, aż się wszystko wyjaśni.

Od piętnastego października do drugiego listopada

Mieszkaliśmy u wujka, skąd bliżej było do szkoły. W szkole nic się nie zmieniło. Nauczyciel nie zadawał mi żadnych pytań. Koleżanki i koledzy pytali: co się stało z twoim Ojcem? Zawsze w kółko to samo powtarzałem, został aresztowany przez NKWD i nie wiem za co i dlaczego.

Trzeciego listopada

Podczas lekcji języka polskiego do klasy weszło trzech bolszewików. Wstaliśmy wszyscy razem z nauczycielem. Chodzili między uczniami, zaglądali do książek i głośno rozmawiali między sobą nieznanym mi jeszcze wtedy językiem. Jeden z bolszewików zobaczył wiszący krzyż – podszedł, zdjął ze ściany, rzucił na podłogę i połamał go obcasem. W myślach życzyłem, aby nogi odpadły mu z tymi śmierdzącymi dziegiem butami przy samej dupie.

Nauczycielowi długo coś tłumaczyli, następnie pan Ciszek-Duszek odczytał z dziennika siedemnaście nazwisk ze mną włącznie i powiedział nam, że mamy pójść do domu. Ponadto oznajmił, że o rozpoczęciu roku szkolnego w polskiej szkole zostaniemy zawiadomieni w późniejszym terminie.

Od czwartego do dziesiątego listopada

Różne krążyły wieści o polskiej szkole, ale najczęściej mówiono, że uczyć się będziemy po południu, ze względu na brak nauczycieli i pomieszczeń.

Jedenastego listopada

W dniu Święta Niepodległości Polski poszedłem do kościoła. Kościół był prawie pusty – nie były dzwony, a na uliczkach i placu przyległym do niego nie było ludzi i świątecznego nastroju. Zmartwiony tym wszystkim wybrałem się na cmentarz – na grób siostry. Idąc na cmentarz spotkałem Anielę. Ucieszyliśmy się widząc siebie – serwus Franus! Cześć! – odpowiedziałem. Na cmentarz poszliśmy drogą okrężną, ponieważ Aniela była na wagarach. Opowiedziała mi, że w Kowalach nic się nie zmieniło, a ona zamiast do 5 chodzi do 4 klasy, w której uczą po białorusku. – Dlaczego? – zapytałem – przecież jesteś Polką? – Ale nie szlachcianką! – odpowiedziała ze smutkiem.

Czternastego listopada

Przez cały dzień z jakimś wewnętrznym niepokojem oczekiwałem na powrót brata, który pojechał do Lidy, aby spotkać się z Ojcem w więzieniu i wręczyć mu paczkę z żywnością i bielizną. Późnym wieczorem brat powrócił i powiedział, że widział Ojca, któremu wręczył paczkę poprzez straż więzienną. Ponadto powiedział, że Ojciec wygląda jak zwierz obrośnięty, ale czuje się dobrze i oczekuje na rozprawę sądową. Prosił, aby brat wspólnie z rodziną zebrał w ciągu jednego miesiąca 1000 podpisów poręczających jego osobę, to będzie zwolniony.

Od piętnastego listopada do trzynastego grudnia

Codziennie z bratem chodziliśmy od wsi do wsi, od domu do domu zbierając podpisy. We wszystkich wsiach, majątkach, folwarkach i osadach z wyjątkiem dwóch przypadków nikt nie odmówił złożenia podpisu. Podpisywali starzy, młodzi oraz dzieci chodzące do szkoły. Wszędzie spotykaliśmy się z wielką życzliwością i współczuciem.

Zbierając podpisy miałem okazję zobaczyć, jak żyją nasi sąsiedzi – widziałem nędzę i dostatek. Kiedy zebraliśmy żadaną liczbę podpisów, idąc do domu prawie po kolana w śniegu zapytałem brata – dlaczego rodzina Mejrowskich żyje w takiej nędzy, a Dylewscy są bogaci? Brat bez namysłu odpowiedział, że Mejrowski jest bolszewikiem. Nie rozumiałem takiego wyjaśnienia, ale ze zmęczenia nie miałem chęci i siły więcej pytać.

Czternastego grudnia

Mróż był siarczysty, chyba –35 stopni (pomimo takiego chłodu brat zawiózł Ojcu paczkę i zebrane 1000 podpisów). Ojciec nadal czuł się dobrze, wszystkich pozdrawiał i prosił, abyśmy zebrali jeszcze 3000 podpisów poręczających jego osobę.

Od piętnastego do trzydziestego pierwszego grudnia

Ponownie rozpoczęliśmy zbieranie podpisów, pomagali nam w tym: rodzina dzierżawcy i brat cioteczny Józef Sienkiewicz. Nadal zima była sroga, ale ciepło ubrani, wykorzystując z bratem lekkie sanie wyjazdowe tzw. „rozwalinki” i wierzchowego konia Ojca, jeździliśmy do dalszych wsi i kolonii. Teraz dość często spotykaliśmy się z odmową złożenia podpisu. Wielu tłumaczyło się tym, że Ojca nie znają.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w bardzo smutnym nastroju z babcią, która mieszkała z najmłodszą siostrą Ojca, ciocią Helą.

Deportacja i pobyt na Syberii 1940 rok

Ósmego lutego

Przed wyjazdem z paczką do więzienia brat powiedział, że Józek, rodzina dzierżawcy i my zebraliśmy ponad trzy tysiące podpisów. Cieszyłem się bardzo, że Ojciec powróci do domu. Byłem dumny, że wszyscy znajomi i nieznajomi pomogli nam w ratowaniu mego kochanego i uwielbianego Ojca.

Dziewiątego lutego

Prawie przez cały dzień z wyjątkiem posiłków, które jadłem razem z rodziną dzierżawcy, byłem na podwórku, jeździłem na nartach i patrzyłem w stronę szosy, czy nie idą Ojciec z bratem. Przed kolacją przyjechała babcia i powiedziała dzierżawcy, że jutro mnie zabiera do Radziwoniszek. Nie byłem z tego zadowolony, ponieważ wolałem w domu czekać na Ojca. Wieczorem w obecności 84-letniej babci i pod jej nadzorem pakowałem swoje i brata rzeczy.

Z dziesiątego na jedenastego lutego

Wyrwany nocą ze snu, zobaczyłem w świetle zapalonych lamp „czubaryków” w szlomagach. Byli to enkawudziści z bronią, chłopci miejscowi oraz Żyd sklepikarz. Oprócz trzech żołnierzy wszyscy byli z czerwonymi opaskami. Żyd, dobrze mówiący po polsku, nakazał babci i mnie ubierać się. Babcia powiedziała, że ubierać się nie będzie i mnie też zabroniła.

Dwóch miejscowych, widząc nasz opór, wyniosło mnie w nocnej koszuli na mróz i śnieg przed dom. Po tym barbarzyńskim zabiegu, po kilku minutach byłem ubrany nawet w dwa zimowe futrzane palta, a tornister z książkami miałem na plecach.

Babcia w dalszym ciągu nie ubierała się, wobec tego czterech miejscowych i Żyd siłą i biciem „pomagali” jej ubrać się. Krzyk babci był przerażający, wyzywała nieproszonych „gości” od bolszewików, bandytów, zbrodniarzy i złodziei. Ubraną posadzili na krzesło, ponieważ ból lewej nogi nie pozwalał jej stać przy mnie.

Kiedy byliśmy już ubrani, jeden z enkawudzistów stanął przed nami z karabinem gotowym do strzału skierowanym w naszą stronę. Z przerażeniem patrzyłem, jak cywile zdejmowali ze ścian kilimy, makatki, przynosili pościel, ubrania i żywność, wszystko wiązali w tobołki i wynosili z domu.

Żona dzierżawcy ze spiżarni przyniosła nam w worku kilka dużych bochenków chleba, suchary, suszony ser, kielbasę, polędwicę i soloną słoninę. Zdobyłem się na odwagę, a na pewno z ciekawości zapytałem ją, dokąd nas zabierają. Odpowiedziała stłumionym głosem – do Ojca, do Lidy – paniczu.

Ucieszyłem się, że będę mieszkać z Ojcem w Lidzie w nowym budynku z państwem Jotkami przy ul. Piaski nr 16.

W pewnym momencie jeden z wynoszących paczki i tobołki powrócił do domu z naręczem ramek pszczelich[†], ciał nożem plasty wosku z miodem i wszystkim rozdawał.

Dając babci powiedział, niech pani osłodzi swoje nieszczęście. Babcia rzucając w jego kierunku plastrem wosku krzyknęła – chامية! Jak mogłeś zamordować niewinne stworzenia – niech Bóg ukarze ciebie i twoje dzieci – ty barbarzyńco! Do rzuconego plastra z miodem podbiegł kot – obwąchał i wskoczył na stół. Ssąc miód patrzyłem na kota, który na wyprostowanych przednich łapach siedział i płakał. Często opowiadałem to zdarzenie w swoim dorosłym życiu, moi rozmówcy mówili, że kot nie płacze – uwierzcie mi, że w tę straszną noc widziałem kocie łzy spływające po jego pyszczku!

Przed wyprowadzeniem z domu (babcie wynoszono na rękach) w ostatniej chwili zdjąłem ze ściany portret siostry Oli w złoczonych ramkach. Po wyjściu przed dom zobaczyłem lunę pożaru. Nagle zobaczyłem, jak dzierzawca wyszedł przed dom, zdjął czapkę i znakiem krzyża pożegnał nas, po czym ukląkł na śniegu i zaczął się modlić. Sanie ruszyły, ja nie miałem gdzie usiąść, trzymając się za tylne oparcie sań stanąłem na jednej z płóz.

W lesie w brzasku nadchodzącego dnia zorientowałem się, że nie jedziemy do Lidy, a tylko w kierunku przystanku kolejowego w Białogrudzie.

Z głębi lasu od przystanku kolejowego słychać było gwałtowną strzelaninę, enkawudziści zatrzymali konie i cicho rozmawiali ze sobą. Opowiedziałem babci o swoich spostrzeżeniach. Z głębi sań spod pierzyn słyszałem jej lament i słowa: synku uciekaj! – uciekaj, bo na pewno w tym lesie bolszewicy zamordują nas – uciekaj! Franusiu, uciekaj!

Po krótkim namyśle powiedziałem: babciu, nie zostawię ciebie, do lasu nie będę uciekał, bo tam są wilki, które mnie zjedzą. Synku – powiedziała babcia – zapamiętaj na zawsze, że ludzie są gorsi od wilków, przecież widzisz, co z nami robią.

Kiedy strzały umilkły w Białogrudzie, ruszyliśmy w dalszą podróż. Po kilkunastu minutach wyjechaliśmy z lasu, sanie zatrzymały się przed bydłocymi wagonami stojącymi na wysokim nasypie. Ujrzałem przerażające widowisko: obok naszych sań w odległości kilku metrów leżał mężczyzna w zakrzepniętej kałuży krwi; nieco dalej na saniach, obok niego, leżał okrwawiony enkawudzista, przy nim stało kilku jego kolegów; na śniegu przed i pod wagonami pełno było porozrywanych tobołków, paczek, skrzyń, szmat i fruwające pierze; do jednego z wagonów z szeroko otwartymi drzwiami kobieta podając kilkuletnie dziecko w momencie, kiedy ktoś chwycił malucha za kołnierz, obsunęła się po nasypie w dół. Maluch rączkami złapał się za gzyms wagonu, a nóżki podciągał do góry i prostował, po kilku takich ruchach spadł i stoczył się z nasypu.

Widząc taką sytuację jeden z enkawudzistów wyjął z sań długie boczne oparcie na kształt drabiny, przystawił do wagonu i nakazał wchodzić kobiecie z dzieckiem. Następnie tę drabinę przystawił do innego wagonu, otworzył drzwi i kazał, aby babcia po niej weszła do środka. Babcia pojękując wchodziła do góry, w połowie drabiny zatrzymała się, zaczęła głośno krzyżeć. Usłyszałem, jak w sąsiednich wagonach ludzie bili pięściami i jakimiś twardymi przedmiotami po zamkniętych drzwiach, oknach i ścianach. Ten sam enkawudzista, „specjalista od drabiny”, wszedł do wagonu i drabinę z babcią wciągnął za sobą. Jego koledzy, którzy przywieźli nas, zaczęli wrzucać i podawać nasze paczki i tobołki. Stojąc na dole z tornistrem na plecach i portretem Oli pod pachą słyszałem, jak w wagonie mówiono – patrzcie! Franusia przywieźli, bez rodziców i brata. Zaraz za paczkami tym samym sposobem zostałem dosłownie wrzucony jak worek z ziemniakami do wagonu.

Leżąc na górze tobołków usłyszałem łoskot zamykanych drzwi. W wagonie było bardzo ciemno, ktoś zapytał – Franusiu, żyjesz? Jeszcze tak – odpowiedziałem, a babcia krzyżąc powiedziała – lepiej żebyś nie żył, bo przecież oni i tak nas w tych wagonach zamrożą lub z głodu i pragnienia umrzymy.*

Jedna z sąsiadek po obejrzeniu spuchniętej nogi babci powiedziała, że jest złamana. Opatrunek zrobiono z deseczek skrzyni i porwanego prześcieradła. Praktycznie babcia sama nie mogła poruszać się nawet do załatwienia potrzeb osobistych.

Dziura w podłodze wagonu służyła jako ubikacja, niektórzy podchodzili do tego otworu i załatwiali się publicznie. Mnie też się chciało siusiać, wstydzilem się, inni na pewno z tego względu też nie podchodzili do publicznego dziwnego „przybytku”.

Problem ten rozwiązano za pomocą zasłony zrobionej z kilku prześcieradeł, ale w kolejce nie wszyscy mogli doczekać się, aby wejść za zasłonę, po prostu załatwiali się tam, gdzie stali. Po przeciwnej stronie wagonu, na górnej pryczy, leżał jęczący pan Jastrzębski, który został ranny w nogę podczas wcześniejszej strzelaniny.

[†] Po powrocie z Syberii w 1945 roku dowiedziałem się, że wszystkie ule (było ich 21 pni) przy 40 stopniowym mrozie zostały otwarte - miód zabrano, a pszczoły wyrzucono na śnieg.

* W moim posiadaniu jest zaświadczenie z dnia 15 września 1992 roku, wydane przez MSW Białoruskiej Republiki. W zaświadczeniu tym stwierdza się deportację moją z matką. Prawdą jest, że zamiast matki, która przebywała u swego brata, wywieziona została moja babcia Emilia. U enkawudzistów liczyła się „sztuka”, ilość zabieranych osób.

Płacz niektórych, lament oraz głośna modlitwa jednej z rodzin zostały nagle przerwane łoskotem żelaza. Było to silne uderzenie lokomotywy w wagony, niektórzy spadli z prycz, a komin „kozy” rozpalony do czerwoności runął na paczki i worki. W wagonie zaczęło się palić. Przytomność dorosłych uratowała „pasażerów” od straszliwej śmierci w płomieniach palącego się wagonu.

Przez szpary jadącego pociągu widziałem, jak dojechaliśmy do Lidy. W Lidzie, a później jeszcze na innych stacjach zawsze z takim samym łoskotem doczepiano wagony z ludźmi. Jeszcze za dnia, kiedy pociąg dość szybko jechał, „pasażerowie” zaczęli jeść. Widok ten pobudził mój apetyt. Przypomniałem sobie o worku, który dała żona dzierżawcy, przeszukałem wszystkie tobołki i paczki, ale swojego nie znalazłem. Na pewno zabrali go enkawudziści lub ludzie, którzy nas wysiedlali. Nie mając nic do jedzenia, w ubraniu i butach położyłem się spać przykrywając pierzyną.

Podczas jedzenia „obiadu” ktoś z dorosłych krzyknął – o Boże, jesteśmy na bolszewickiej ziemi! Dokąd oni nas wiozą? Siostra zakonna zaczęła śpiewać – „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”, kto mógł, to powstał, pozostali klęczeli i ręce mieli złożone jak do modlitwy, wiele osób płakało. Płakałem i ja.

Na „kolację” dostałem kawałek suszonego sera białego. Układając się do snu zdjąłem buty, a z palta zrobiłem poduszkę. W tę noc nie mogłem usnąć, chciało mi się bardzo pić – wody w wagonie w ogóle nie było – śniły mi się wodospady oranżady – koszmar!

Od trzynastego do siedemnastego lutego

Każdy dzień był podobny do siebie, tylko rytm stuku kół uświadamiał, że jesteśmy dalej i coraz dalej od rodzinnych stron. Pewnego ktoś z „pasażerów” naszego wagonu powiedział, że jedziemy w kierunku Moskwy. Bałem się słowa Moskwa – Moskale. Moskali porównywałem z bandytami i bezbożnikami. W jednym z tych dni starosta wagonu pozwolił utworzyć okiennicę, przy której z babcią „mieszkałem”. Po wyrwaniu gwoździ z okiennicy przez starszych kolegów zobaczyłem w naszym oknie metalowe kraty oplatanе drutem kolczastym. Zdziwiony tym widokiem zapytałem, po co są kraty i drut kolczasty? Ktoś żartobliwie odpowiedział – abyś na zakręcie nie wypadł przez okno. Przez otwór okienny do wagonu wdarło się świeże i mroźne powietrze. Na wprost okna z dachu wagonu zwisały sopele lodowe, które jeden z kolegów zrywał i podawał błagającym o wodę, dostałem i ja kilkucentymetrowy sopelek. Na łuku torów kolejowych zobaczyłem naszą buchającą parą lokomotywę, a za nią podobnych do siebie kilkadziesiąt bydłowych wagonów. Każdy wagon z przodu lub z tyłu miał budkę tzw. „brek”, w której siedział w długim kożuchu wartownik z karabinem. Starsi koledzy za pomocą sznurka i dziecinnego wiaderka „łapali” w biegu pociągu śnieg, z którego początkowo robiono małe kulki i rozdawano kolejno wszystkim, później nagromadzony śnieg przy okazji palenia w „kozie” topiono, a wodę zdobytą w ten sposób wlewano do jednej przypadkowo zabranej przez „podróżnych” kani na mleko.

Osiemnastego lutego

Prawie przez cały dzień „nasz pociąg” stał na podmoskiewskiej stacji prawie zasypanej śniegiem. Drzwi do wagonu były otwarte, przed nimi stał wartownik z karabinem skierowanym w naszą stronę. Widziałem, jak z niektórych wagonów wynoszono zmarłych, a może zamarzniętych ludzi, których układano w rowie, a później zasypywano śniegiem. „Pogrzebowi” temu towarzyszył śpiew na taką okazję, płacz i lament ludzi w wagonach, którzy żegnali w tak dziwny a raczej barbarzyński sposób swoich najbliższych. W tym dniu po raz pierwszy przyniesiono jedzenie, do naszego wagonu wrzucono kilkadziesiąt suchych, słonych śledzi. Przydzielonego małego śledzika zjadłem z głową i wnętrznościami. Przed nastaniem zmroku wagony z hałasem zamknięto i zaryglowano. Po śledziowym „posiłku” nie odczuwałem głodu, ale pragnienie doprowadziło mnie prawie do szału. Tam, gdzie siedziałem, zlizywałem szron z metalowych części wagonu, tak postępowali prawie wszyscy. Szron na metalu powstawał z oddechu „pasażerów”. Jak to dobrze, że wśród nas nie było chorych na gruźlicę. Późnym wieczorem, wolno, ze zgrzytem i szarpaniem wagonów mijaliśmy słabo oświetloną Moskwę. Niektórzy mówili, że „widzieli” Kreml i Stalina, ja widziałem tylko małe chatki, ledwo wystające ze śniegu oraz pojedynczych ludzi, dziwnie ubranych, patrzących na nasz pociąg. Na wołania i pytania z okien wagonów nie odpowiadali, a niektórzy z nich robili brzydki gest ręką, odwracali się do nas plecami i wypinali tyłki.

Dziewiętnastego lutego

Przeraźliwy krzyk pani Marii Waszkiewiczowej poderwał wszystkich ze snu. Miejsce, gdzie leżała krzycząca ciężarna kobieta, zasłonięto kocami, zapalono latarnię, rozpalono „kozę” i grzano wodę. Ktoś powiedział – będzie rodziła. Zaczęto stukać w drzwi i ściany wagonu, aby zatrzymać pociąg – nic nie skutkowało. Pani Waszkiewiczowa urodziła syna.

Dwudziestego drugiego lutego

Po porannej modlitwie i skromnym śniadaniu, oprócz rozmów i przekleństw usłyszałem jęki i błaganie o pomoc rannego w nogę pana Jastrzębskiego. Przez kilka godzin w wyniku postępującego zakażenia ranny wył z bólu, początkowo tak głośno, że niektórzy zatykali sobie uszy, później coraz ciszej i ciszej, aż nastąpiła w takiej sytuacji i takim przypadku niepotrzebna śmierć jeszcze jednego

zasłużonego i bohaterskiego legionisty..Zmarłego owinięto w prześcieradło i ułożono, a raczej zatkało nim szparę w podłodze przy drzwiach wagonu. Po modlitwie za duszę zmarłego w wagonie zapanowała cisza przerywana stukiem kół na złączach szyn. Ten monotony stuk i pisk hamulców pozostanie zakodowany w moim mózgu chyba do końca mego życia – okropne!

Dwudziestego czwartego lutego

Przed nastaniem zmroku zmarła pani Maria Waszkiewiczowa. Zmarłą ułożono podobnie jak pana Jastrzębskiego. Nikt się nie modlił i nie płakał. „Pasażerowie” siedzieli na swoich miejscach ze skamieniałymi twarzami, wpatrzeni w miejsce gdzie leżeli zmarli. Babcia powiedziała do mnie – Franusiu, teraz jest moja kolej na śmierć, ale pamiętaj, że ty musisz moje kości przywieźć w walizce i pochować na cmentarzu w Wawiórcie. Pamiętaj o tym, że Polak nie może i nie powinien swymi prochami użyźnić ziemi bolszewickiej. Czynień cię odpowiedzialnym wobec Boga za moje prochy. Dobrze, babciu, odpowiedziałem i przestraszyłem się słowa zawierającego to przyrzeczenie.

Dwudziestego piątego lutego

Pisk hamulców i szarpnięcie wagonem uświadomiło nam, że pociąg wjeżdża na jakąś stację. Konwojenci z łoskotem i stekiem przekleństw otwierali zamrożone drzwi wagonów. Zanim zorientowano się, że trzeba przytrzymać zmarłych, nagle otwarcie naszego wagonu wyrzuciło zwłoki wprost na konwojenta. Rozwścieczony enkawudzista kopnął zmarłego, zdjął karabin z ramienia i krzychał – kto to zrobił? – Wychodź! Rodziny zmarłych, nie wiedząc o co chodzi, zaczęły szybko opuszczać wagon zabierając z sobą walizki, worki i tobołki.

Przez otwarte drzwi wagonu zobaczyłem w oddali piętrowe budynki i wiele dymiących kominów, a za nimi gdzieś chyba na horyzoncie łańcuch gór – jak mówili dorośli – Ural. Do wagonu z powrotem wpędzono zapłakaną rodzinę Jastrzębskich. Konwojent szybko zaniknął i zarygłował drzwi i pociąg ruszył. Babcia nie pozwoliła otworzyć „naszego” okna, inni ze swych okien widzieli stojącą rodzinę Waszkiewiczów z niemowlęciem zawiniętym w kożuch zmarłej matki, leżącej obok zamrożonych zwłok sąsiada. Wagon, w którym jechałem, znajdował się w środku transportu. Rodziny Waszkiewiczów nigdy więcej nie widziałem i nic o niej nie słyszałem.

Dwudziestego szóstego lutego

Od kilku godzin pociąg wolno jechał wśród skał. Pierwszy raz w swoim życiu zobaczyłem tak wysokie góry. W pewnym momencie od czoła pociągu wzmagął się lament, a gwizdanie parowozu potęgowało nieznana groźbę. Pociąg gwałtownie zatrzymał się i tak samo ruszał, wyglądało, jakby ktoś chciał nas wytrząsnąć z wagonów. W jednej z kolejnych „drgawek” pociągu wagon nasz zatrzymał się na granicy pionowo wyrytej w skałach rysy, oddzielającej Europę od Azji. Początkowo usłyszałem płacz i zawodzenie kobiet, później narastający śpiew pieśni – „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Śpiewałem i ja. Wierzyłem w słowa tej pieśni, które dla mnie miały nieznana, dziwną i przekonującą siłę magiczną.

Dwudziestego ósmego lutego

Minęliśmy główny łańcuch Uralu. Prawie wszyscy mówili, że powrót do Polski, do rodzinnych stron jest niemożliwy, ocalić nas może tylko cud, trzęsienie ziemi, wojna lub sąd ostateczny. Mnie najbardziej odpowiadał cud, w który wierzyłem tak, jak w magiczne słowa śpiewanej pieśni sprzed kilku dni.

Pociąg zatrzymał się na boczny dużej stacji Czelabińsk. Wszystkich, którzy mogli iść o własnych siłach, kolejno wagonami prowadzono do łaźni, pod strażą, z bronią gotową do strzału, jak pospolitych przestępców lub zbrodniarzy. Kobiety z dziewczynkami, mężczyźni z chłopcami tworzyli grupy według płci. Oddzieleni przepierzeniem z dziurawych i koślawych desek – praktycznie każdy mógł widzieć to, co chciał. Po rozebraniu się i powieszeniu ubrania na kółko z numerem oddawaliśmy „odzież” do odwzalnici. Później każdy z beczki ręką brał dziwną śmierdzącą maź, która zastępowała mydło. Myliśmy się pod prysznicami, z których tam, gdzie ja się myłem, leciał wrzątek lub zimna woda, której nie można było połączyć w jeden ciepły strumień. Aby się umyć podstawiałem tak jak inni ręcznik raz pod zimną wodę, a później pod wrzątek, po czym wycierałem namydlone ciało. Wstydzilem się bardzo swego wychudzonego ciała i znajomych nagich mężczyzn, których zobaczyłem po raz pierwszy w życiu w tak kompromitującej sytuacji. Z łaźni do wagonów pędzono wszystkich biegiem, co przy mrozie poniżej –40 stopni było naszym zbawieniem przed zaziębieniem się.

Pierwszego marca

Pociąg stał na stacji przy peronie na wprost dworca kolejowego Kurgan. Wśród zgłębku panującego poza wagonem babcia usłyszała nasze nazwisko. Ucieszona tą sytuacją zapomniała o tym, że ma złamaną nogę i przygotowywała się do wyjścia. Zabierając swoje rzeczy mówiła, że ją przypadkowo zabrali zamiast mojej matki i na pewno wróci do swego domu. Walono kijem po drzwiach wagonu i wywoływano jeszcze raz nasze nazwisko.

„Pasażerowie” wagonu chórem krzyknęli tutaj, tutaj!!! Drzwi z łoskotem otworzył ktoś z zewnątrz, na peronie stał mój brat Marian. Ubrany był w długi kozuch sięgający do ziemi, na głowie miał kominiarkę, a na niej dużą czapkę uszanke, ponadto przy nim na śniegu leżało kilka wypełnionych worków i narty. Po wejściu brata do wagonu babcia powiedziała – ty durniu, po co przyjechałeś z tak daleka do nas? Dlaczego dałeś się złapać, ty kretyńcze, idioto! Brat, przerażony takim powitaniem oraz śmiechem „pasażerów” po jakimś czasie zaczął opowiadać, jak do tego doszło, że teraz jedzie z nami na Sybir.

Czwartego marca

Popularne na Wileńszczyźnie imieniny Kaziuka – Kazimierza. W dniu tym, w słoneczne południe przy przerażającej bieli śniegu, dowieziono nas do stacji Asino. Nakazano „pasażerom” naszego wagonu zabierać wszystkie rzeczy i ładować się kolejno rodzinami do podstawianych sań, ponieważ dalej pociąg nie pojedzie, bo tory kolejowe skończyły się. To była jedna ze strasznych prawd! Z naszych dwóch wagonów na kilkadziesiąt sań załadowano jeszcze 106 żyjących osób. Jechaliśmy bardzo wolno, ponieważ wielu musiało iść pieszo grzęznąc w głębokim śniegu. Nagle sanie ruszyły szybciej. Wielu idących obok – tak jak mój brat – zaczęło biec, a później padać i pozostawać na drodze. Sanie, na których jechałem z babcią i żołnierzami z ochrony, były zakończeniem kolumny. Żołnierz ochrony widząc pozostających ludzi, zeskoczył z sań, zaczął zbierać „maruderów” w jedną grupkę i strzelać w górę, aby konwój zatrzymać. Nasze sanie, powstrzymywane przez woźnicę, pędziły podskakując po stromym zjeździe w kierunku zamarzniętej rzeki Czulym. Późnym wieczorem dojechaliśmy do pojedynczego baraku bez otworów okiennych, stojącego samotnie wśród śniegu i drzew. Przy jedynych niby drzwiach zajęli miejsca wartownicy, dalej ściśnięci w rodzinnych grupkach siedzieli „skazańcy”, to znaczy my. Rozpalono ognisko. Początkowo dym był w całym baraku od podłogi aż do sufitu, później lekko uniosł się nad naszymi głowami, co pozwoliło nam lżej oddychać.

Wczesnym rankiem mój brat wracając po załatwieniu potrzeb fizjologicznych powiedział głośno, że widział kilka zwłok ludzkich zamarzniętych i poszarpanych przez dziką zwierzynę. W baraku powstało zamieszanie, ludzie zaczęli wychodzić, a upewniwszy się, że jest to prawda, zabroniono dzieciom oglądać makabryczne widowisko. Przerażona tym widokiem ciężarna pani Wagnerowa (żona komendanta posterunku policji z Wasiliszek) zaczęła rodzić. Poród był nieszczęśliwy, zmarła matka i przedwcześnie urodzone dziecko. Samotną kobietę z jej dzieciątkiem pochowano we wspólnej mogile ze znalezionymi, prawie zjedzonymi przez dziką zwierzynę zwłokami nieznanymi Polaków, którzy zmarli na jednym z tysiąca punktów etapowych. Nieszczęśliwów pochowano po chrześcijańsku. Na polanie wśród drzew oczyszczono ze śniegu miejsce, rozpalono ognisko, aby tym sposobem rozmrozić ziemię, a później drewnianymi łopatami wykonanymi z desek wykopać grób. Zmarłych ułożono na dnie dołu, przykryto prześcieradłem, a później deskami z podłogi baraku. Ustawiono wysoki brzozywy krzyż. Na krzyżu tym w wyciosanym miejscu napisano: „ŚP Jadwiga Wagnerowa z synkiem i trzech nieznanymi Polaków”.

W skrajnych warunkach zacierały się różnice między nami, furmanami i enkawudziastami. Furmani, moim zdaniem, byli najlepiej przystosowani do takich warunków, oni uczyli nas co, gdzie i jak mamy robić. Widziałem, jak niektórzy z nich brali małe dzieci źle ubrane i sadzali na swoje kolana tuląc i przykrywając je swoimi kozuchami. Tym sposobem dzieci i furmani wzajemnie się grzali. Dziś może nie każde uratowane dziecko pamięta lub chce pamiętać ludzki odruch prostych Rosjan, którzy może w świadomy lub nieświadomy sposób uratowali im życie.

Ósmego marca

Przed południem przy blasku oślepiającego słońca i śniegu zostaliśmy dowiezieni, a niektórzy doprowadzeni do miejsca zesłania. Posiołek Trekowo nad Cziczkaulem składał się z dwóch baraków dla zesłańców, małego baraku NKWD, łaźni nad rzeką, budy z kotłem do gotowania zupy lub wody oraz małego baraku, w którym później urządzono szkołę i kiosk spożywczy.

Do baraku nr 1, w którym „zakwaterowano” mnie z babcią i bratem, wprowadzono ogółem 60 osób. Przydzielając miejsc do spania był prosty, enkawudzista kredą odmierzał pięćdziesięciocentymetrowe odcinki każdej osobie. Po wyznaczeniu miejsc z szyderym uśmiechem oznajmiał, że w tym belwederze będziemy mieszkać do śmierci (żdzieś podochniecie i Polsci bolsze nie uwidzicie). Pośrodku tego „belwederu” stały dwa ceglane piece, a dalej w rogu piec kuchenny na osiem fajerek, ponadto barak miał cztery oszklone pojedyncze okna i skrzypiące drzwi z bezpośrednim wyjściem na dwór.

Nocą obudzony przez brata, zobaczyłem wiele palących się łuczyw i świec, wszyscy czegoś szukali. Przerażony tym widokiem odczułem, że jakieś stworzonka łążą po moim ciele. Sięgnąłem w zanadrze gniotąc śmierdzącą pluskwę. Trudno opisać przeżycia i życie z tym paskudztwem, które ssało krew z tak wyczerpanych i wynędzniałych naszych ciał. Przez całą noc palono łuczywa, ale żarłoczne paskudztwa spadały z sufitu jak grad na policzki i odsłonięte ciała.

Dziwiątego marca

Po raz pierwszy i ostatni z tej prowizorycznej kuchni wydano po pół litra zupy na osobę, ugotowanej z prosa. Jadłem chciwie z nadzieją, że jeszcze zupy tej dostanę, ale była to tylko nadzieja bardzo wygłodzonego jednego z zesłańców.

Od dziesiątego marca do dziesiątego maja

Enkawudziści codziennie kolejno wg alfabetu lub jakiegoś swego schematu, pojedynczo wzywali „mieszkańców” baraków na rozmowy. Początkowo wzywani byli mężczyźni i ich żony, później panny i kawalerowie, a w końcowej fazie dzieci.

Wiele rodzin, również i my, zaczęliśmy otrzymywać listy i paczki od najbliższych i znajomych, którzy jeszcze zamieszkiwali na Wileńszczyźnie.

Pomoc rodzin oraz handel wymienny z miejscową ludnością, która przyjeżdżała gdzieś z tajgi, pomogła przetrwać do wiosny. Przed nastaniem roztopów wszystkich zdolnych do pracy od 12 roku życia zatrudniono przy wyrębie wypalonego lasu. Pomagałem i ja bratu, nosiłem gałęzie i paliłem ogniska. Praca trwała od świtu do zachodu słońca, z krótkim posiłkiem obiadowym przynoszonym przez rodziny. Za swą pracę zatrudnieni wykonujący normę mogli wykupić przydział chleba 600-800 gramów, a dla niepracującego członka rodziny 200-400 gramów.

Szybko postępująca wiosna oraz zniknięcie śniegu wprowadziło prawie wszystkich w zdziwienie i zakłopotanie. Drutów kolczastych wokół obozu nie było, zastąpione zostały rzeką Cziczkaulem i bagnami „nie do przebycia”, oddalonymi około 300-500 metrów od baraków. Faktycznie nadzorowało (pilnowało) nas trzech enkawudzistów oraz surowa prawa zimowej i letniej syberyjskiej natury.

Od dziesiątego do trzydziestego pierwszego maja

Wiele rodzin żywiło się tylko zielskiem nadającym się do gotowania i jedzenia. Niektórzy (od czasu do czasu także moja babcia) ugotowane zielsko – „zupę” zasypywali mąką i okraszali małymi kawałeczkami słoniny. Skromne przydziały chleba jedliśmy popijając „herbatą” – wywarem z igliwia, liści i kwiatów, malin, czarnej i czerwonej porzeczki, poziomek, borówek i czeremchy. Ponadto przysmakiem naszym był sok brzozy i miąższ brzozy zeskrobywany po zdjęciu kory z drzewa. Wiele dzieci – całkowitych sierot lub bez opieki rodziców – pracowało przy wyrębie lasu. Same sobie gotowały „posiłki”. W krótkim czasie chyba wszyscy, a dzieci i подростки na pewno (dotyczyło to również mnie) zaczęły załatwiać się kałem zielonym, podobnie jak to czynią krowy.

Pewnego dnia pojawił się na naszym posiołku Tit Andrejanowicz (bardzo słabo mówiący po polsku), który opowiadał, że jest potomkiem zesłańca powstania listopadowego (29 listopada 1830 roku). Przyniósł do wymiany mięso (były to czerwone bryły mięsa w tłuszczu podobnym do tłuszczu gęsiego) z osobiście upolowanego niedźwiedzia. Opowiadał, jak bez broni palnej, a tylko widłami i kindziałem zabijał niedźwiedzia. Ponadto Tit Andrejanowicz zwerbował wśród chłopców (włącznie ze mną) grupę „myśliwych” do łowienia syberyjskich wiewiórek tzw. burunduków (*Eutamias sibiricus* – tom 4 str. 141 W. E. Radziecka). Burunduki tam, gdzie my byliśmy, gnieździły się przeważnie w ziemi pod pniami potężnych drzew cedrowych, gromadząc w swoich „spizarniach” po kilka wiader orzechów wyluskałych z szyszek tych drzew.

Ciepło i podmokłe okolice sprawiły „przyśpieszony” wylęg komarów i mszyc (meszki – wielkości ziarenka maku). Dosłownie – plaga – miliony owadów atakowały ludzi. W miejscu ugryzienia następowało silne swędzenie ciała, a niektórzy uczuleni na ich jad puchli tak, że oczu im nie było widać.

W ostatnich dniach tego miesiąca brat moje za małe już palto na futrze wymienił na kilkanaście kilogramów mąki żytniej i wiadro ziemniaków. Po oddaniu pożyczek mieliśmy na przednówku co „jeść” przez kilka tygodni.

Pierwszego czerwca – Międzynarodowy Dzień Dziecka

Pierwszy raz o istnieniu święta dzieci dowiedziałem się na zesłaniu. W dniu tym w godzinach porannych starostwie baraków zebrali dzieci do lat 14 i matki z niemowlętami – było kilkadziesiąt osób. Do zebranych przemówił jeden z enkawudzistów. Niewiele z tego zrozumiałem, zapamiętałem, że Stalin każdemu z nas przysłał po jednym cukierku za każdy rok życia. Dostałem 12 czerwonych landrynek, którymi podzieliłem się z babcią i bratem. Wśród dzieci zapanowało dziwne jakieś zadowolenie. Babcia żartobliwie powiedziała – Franusiu, dostałeś 12 cukierków, jeżeli będziesz jeść co miesiąc po jednej landrynce, to na pewno doczekasz się następnego prezentu, ale nie w Kowalach, tylko tu, w tym „raju” Polaków wymyślonym przez Stalina. Zjedzone cukierki nie zaspokoily głodu, tak jak zawsze wszyscy wyruszyli do swoich czynności, tj. zbierania grzybów i traw nadających się do jedzenia. Z grupą kilkunastu chłopców, do których dołączyłem i ja, poszliśmy wykopywać orzechy cedrowe ze „spichlerzy” burunduków. W miejscu wykopek niektórzy dobrali się do orzechów. Janek Kaniewski, najstarszy z naszej grupy (do 1939 roku był w harcerzach drużynowym) oraz jego koleżdy znaleźli pułapki, w których były dwa głuszce. Ten dzielny harcerz nauczył nas, jak bez garnka można w glinie upiec ptaka, zającą, rybę itp. Początkowo brzydziłem się jeść niedawno jeszcze żywego głuszca – jednak głód i widok jedzących zrobił swoje. Byliśmy prawie syci, leżeliśmy przy dogasającym ognisku, kiedy nagle, zniemacka podszedł do nas z dubeltówką skierowaną w naszą stronę myśliwy – tubylec. Groził, że

pozabija nas za to, że z pułapek ukradliśmy i zjedliśmy państwową własność. Janek w imieniu wszystkich nas przeproszał myśliwego – tłumaczył mu, że on jest za to odpowiedzialny, a występki ten popełniliśmy z głodu.

Myśliwy zażądał, abyśmy oddali naczynie, w którym zostały ugotowane gładzce. Heniek Berdowski wygrzebał z ogniska skorupę gliny z niedopalonym pierzem i podał myśliwemu. Tubylec nie mógł tego zrozumieć. Janek wykorzystując glinę i wodę wyjaśnił mu, jak się to robi. Uradowany wynalazkiem „polskich panów” myśliwy – prosił, by w przyszłości nie zabierać wszystkich ptaków, ponieważ on ma też głodujące dzieci.

Przed zachodem słońca z garścią orzechów w kieszeni wróciłem z kolegami do baraków. W baraku nr 2 zobaczyłem na pryczy ułożone obok siebie nieżyjące dzieci. Wśród zmarłych był pięcioletni braciśzek mego kolegi, Janusza Tarnowskiego z majątku Tarnowo k/Lidy, który w tym dniu był z nami przy „pieczeniu” ptaków.

Przez kilka dni rodziny zmarłych, znajomi i koledzy Janusza urządzali na pagórku w pobliżu rzeki Polski Cmentarz. Cmentarz, na którym miał się odbyć pierwszy pogrzeb w miejscu zesłania, został ogrodzony żerdziami, a pośrodku tego placu ustawiono chyba 5-metrowej wysokości krzyż z nieokorowanej, śnieżnobiałej brzozy.

W dniu pogrzebu, który odbył się w obecności wszystkich zesłańców, wśród nas przy Janku stał również Tit Andrejanowicz. Ponadto widziałem, jak enkawudziści z niedalekiej odległości przyglądali się ceremonii pogrzebowej.

Podczas kilkuminutowej ciszy zastanawiałem się, co mam zrobić, aby słowa – JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA, PÓKI MY ŻYJEMY, CO NAM OBCA PRZEMOC WZIEŁA... doprowadziły mnie i kolegów z zesłania do Polski. Naprawdę miałem pustkę w głowie i nie wiedziałem, jakie drogi i los życiowy mnie tam doprowadzą. Z głębokiej zadumy wyrwały mnie słowa Janka, który dając nam wstążeczki biało-czerwone powiedział – „Dziś złożymy przysięgę wobec Boga, że z tej tajgi, z Syberii dojdziemy do Krakowa – na Wawel, aby prochom naszych królów i Marszałka Piłsudskiego złożyć meldunek naszej wierności.”

Na komendę – „Do przysięgi!” unieśliśmy do góry prawą dłoń ze złożonymi palcami i powtarzaliśmy za Jankiem słowa przysięgi:

TU, NA ZIEMI WROGA, PRZYSIĘGAM CI, POLSKO, ŻE POWRÓCĘ DO CIEBIE! PRZYSIĘGAM, ŻE W ŻYCIU SWOIM UŻYJĘ WSZELKICH FORTELI, ABY PRZYBLIŻYĆ DZIEŃ ZAPŁATY ZA KRZYWDY DOKONANE MNIE I NARODOWI POLSKIEMU – TAK MI DOPOMÓŻ BÓG!

Po złożonej przysiędze Janek powiedział, że od dziś jesteśmy drużyną harcerską imienia „Orla Białego”, a o złożonej w tajemnicy przysiędze nikomu mówić nie wolno. Na znak przynależności do drużyny „Orla Białego” nosiliśmy przyszyte od wewnątrz kołnierza wstążeczki biało-czerwone. Z treści przysięgi zapamiętałem główną myśl, którą wiernie realizowałem i realizuję w swoim życiu.

Po porannej modlitwie w ostatnią niedzielę czerwca zostaliśmy przy udziale enkawudzistów i pracowników kołchozu im. Kalinina rozdzieleni do różnych prac. W barakach w miejscu zesłania pozostali starcy (moja babcia też), inwalidzi i dzieci do lat 12. W grupie liczącej kilkanaście osób, przeznaczonej do sianokosów, znalazłem się razem z bratem. Do miejsca pracy oddalonego około 20 kilometrów od baraków doszliśmy kilka godzin przed zachodem słońca. Na polecenie brygadzysty z kołchozu w wyznaczonym miejscu nad rzeką zaczęliśmy budować szałas. Dwuosobowy szałas wybudowałem z bratem używając do tego żerdzie, patyki, gałęzie i siano. Obok naszego szałas bardzo szybko i pomysłowo (braliśmy z nich przykład) „wybudowali” się pan Józef Berdowski z synami – Heńkiem i Stefanem.

Po kilku dniach pracy, tj. przy „przewracaniu”, suszeniu i grabieniu siana, brygadzysta przydzielił mi syberyjskiego konia z „wałakuszą”. Praca moja polegała na dowożeniu do stogu kop siana z odległych zakątków łąki.

Pewnego dnia, gdy prowadziłem konia z „wołokuszą” (dwoma liściastymi brzożkami) przymocowaną do chomonta, nagle stanął i zaczął wolno iść do tyłu. Zmuszając go, aby siedł w nakazanym kierunku, zobaczyłem, jak w naszą stronę pełzał duży wąż z uniesionym łbem. Chcąc ominąć węża uderzyłem obcasami konia w brzuch. Koń nagle zaczął galopować i kopytami rozgniół gniazdo os, które niemilosiernie żądliły mnie i konia. Broniąc się przed osami spadłem z konia i ukryłem się w kopie siana. Upewniwszy się, że mnie nie atakują odnalazłem stojącego konia w gęstym zagajniku. Mając przymocowaną „wołokuszę” do chomonta, utkwiał między drzewami, gdzie oswały „mściły” się za zniszczone gniazdo. Dużą gałęzią zacząłem odpędzać osy, aby uratować zwierzę o siebie przed wściekłym atakiem. Po odpędzeniu os wyprzęgłem konia z „wołokuszy” i chciałem doprowadzić do szałasów. Pogryziony i wystraszony, zamiast do szałasów zaciągnął mnie do rzeki. Trzymając go za lejce widziałem tylko wystające z wody jego uszy, oczy i chrapy. Stojąc na brzegu i trzymając się za drzewo zobaczyłem nadchodzącego brygadzystę. Brygadzysta widząc niespodziewaną sytuację krzyknął – „ty jobanyj w rot zacem topisz konia”? Wystraszony przekleństwem brygadzysty, opowiedziałem mu, co się wydarzyło. Nie dowierzając mi wyprowadził konia z wody i po obejrzeniu skutków uządleń os

powiedział – „ty polskaja świnią, jeśli koń podochniet, ubiju tebia kak sobaku”! Wiedziałem, że koń w kolchozie był bardziej ceniony od człowieka. Przez trzy dni i noce przy pomocy brata, Heńka i Stefana „moczyliśmy” go w Cziczakajule. Cieszyłem się bardzo, kiedy po wyjściu z przymusowej kąpieli zaczął zjadać wszelkie zielska, jakie napotkał po drodze.

1941 rok

Przed moimi trzynastymi (wtedy mówiłem, że mam 10 lat, robiłem to tylko dlatego, aby ułatwić sobie życie i pomniejszyć swoją gehennę) urodzinami, zachorował mój brat. Przez kilka dni, mając wysoką temperaturę, leżał w baraku. W dniu 4 kwietnia po powrocie z pracy nie zastałem go. Z relacji dyżurnej baraku dowiedziałem się, że brata zabrał do szpitala jakiś woźnica w obecności enkawudzisty z Trekowa. Brat odjeżdżając poprzez tę kobietę pozostawił mi 5 rubli i powiedział jej, że powróci za kilka dni. Po jego „zniknięciu” ja również zachorowałem na żołądek. Bardzo bałem się tyfusu, ale dolegliwości ustąpiły po kilku dniach. Bez brata sam nie mogłem pracować, ponieważ kolchoźnicy „drwale” nie chcieli mnie z sobą zabierać. Za pozostawione pieniądze przez tydzień miałem zapewnione jakieś wyżywienie. W baraku nikt mną się nie interesował, zmęczeni pracą drwale po spożyciu posiłku kładli się spać.

Mijały dni, a ja bez pieniędzy nic nie mogłem kupić, a do wymiany nie miałem już żadnych rzeczy. Mimo beznadziejnej sytuacji wolałem umrzeć niż prosić o pomoc. Bez jedzenia i picia przez parę dni leżałem otepiały i obojętny na pluskwy i wszy, które urządziły sobie ucztę na ciele umierającej, zapomnianej przez Boga i ludzi sieroty. Pewnego dnia, kiedy byłem u kresu sił i wytrzymałości, jedna z chorujących kobiet zainteresowała się mną. Troskliwa kobieta (matka pięciorga dzieci) pomogła mi zejść z pryczy, dała do napicia się wywaru z ziół, wykapała i w odwieszalni doprowadziła do porządku moją bieliznę i ubranie.

Wieczorem, podczas kolacji, na polecenie mojej zbawicielki paliłem przy stole łuczywo oświetlając siedzących. Przy tej okazji moja „opiekunka” opowiedziała, jaki los mnie spotkał. Jeden z kolchoźników ocierając brodę z resztek jedzenia, powiedział – u nas nawet dzieci wroga z głodu nie umierają (przypomniałem sobie cukierki Stalina i śmierć czworga małych dzieci), po czym wstał i zaczął zbierać wolne datki. Zebrane pieniądze w glinianej misce postawił przede mną i powiedział: jesteś dzielnym chłopcem, zanim cię zawieziemy do Trekowa (do Polaków), będziesz w ciągu dnia przygotowywać łuczywa, a wieczorem będziesz oświetlać nasz barak.

Widząc zebrane pieniądze zacząłem płakać, szlochać nad swoim losem. Przy stole powstało zamieszanie, próbowali mnie uspokoić, pytali dlaczego płaczę. Przecież my ci krzywdy nie damy zrobić! Przez łzy zdławionym głosem powiedziałem – dlaczego ja, syn zasłużonego i zamożnego ojca zostałem żebrakiem, przecież my krzywdy nikomu nie zrobiliśmy!

Pod koniec kwietnia, jeszcze przed roztopami, kolchoźnicy „drwale” ruszyli w drogę do swych kolchozów, odprowadzając mnie do Trekowa (miejsca zesłania). Na mój widok – idącego z kilkoma kolchoźnikami, babcia krzyknęła – O Boże!! A gdzie jest Manius? (zdrobniałe imię mego brata).

Babcia uważnie wysłuchiwała, co się wydarzyło z bratem – powiedziała „dograł się! Tak jak jego kolega Janek”. Wystraszony „zniknięciem” Janka szybko oberwałem wstążeczkę biało-czerwona i ukryłem ją w fałdzie nogawki.

W pierwszej połowie czerwca wszystkich zdolnych do pracy zebrano przed budynkiem enkawudzystów. Dowiedzieliśmy się, że w odległości około 5 kilometrów od naszych baraków będziemy budować naszą stolicę, Warszawę, wraz z jej belwederem. Krążyły pogłoski, że baraki, w których „mieszkamy”, są przeznaczone dla nowych zesłańców. Niektórzy mówili, że z terenów okupowanych przez Sowieców wszystkich Polaków przesiedlą na Syberię. Często rozmyślałem na ten temat. Jeszcze dziecinne serce moje płakało, że tu na Syberii ma być Polska – dlaczego tak daleko od rodzinnych stron?

Dwudziestego drugiego czerwca – pozorna wolność

Jedząc „obiado-kolację” razem z synami budowniczego Warszawy, dowiedziałem się, że ulica Marszałkowska będzie przebiegała równoległe do rzeki. Prostopadle do głównej, miały przebiegać ulice: Królewska i Świętokrzyska. Zamknięciem tych ulic w głąbi wypalonego lasu miała być ulica Nowy Świat. Wtedy tam nazwy tych ulic nie były znane, tak jak i Warszawa.

Pewnego dnia wracając z pracy pan Berdowski prezentował enkawudziście plan „Warszawy”. Po zapoznaniu się z perspektywą budowy „stolicy”, enkawudzista powiedział, że działki nie mogą być większe jak 5000 metrów kwadratowych jedna! Wielu z dyskutantów proponowało, aby wielkość działki odpowiadała pozostawionym w rodzinnych stronach. Przedstawiciel władzy odpowiedział – „niełżja wiet' eto budziet stolica – Pośle uwidzim”! (nie można, przecież tu będzie stolica – później zobaczymy). Proszę na jutro przygotować plan, „gdzie każdy pan budziet żyt” (gdzie będzie mieszkał każdy z panów).

Wieczorem losowaliśmy swoje działki, ja wylosowałem numer 1. Co za dziwny zbieg okoliczności. W Kowalach też mieliśmy numer 1 – czyżby tu miały być Kowale?

Następnego dnia orientacyjnie wiedziałem, że u zbiegu „ulic Marszałkowskiej z Królewską będą Kowale”. Przerażony byłem, myślałem, że tu trzeba będzie umrzeć! – To niemożliwe!

W czasie obiado-kolacji do naszej „Warszawy” przyplęnęło łodziami kilkunastu enkawudzystów. Trzech „naszych” enkawudzystów podeszło do nas, pozostali zatrzymali się nad rzeką z bronią gotową do strzału. Starszy z „naszych” po zebraniu zesłańców przemówił: „22 czerwca (czerwca) Niemcy napadli na Sowietskij Sojuz!” W dalszym przemówieniu powiedział, że nie musimy już tu budować „Warszawy” – jesteście wolni i możecie stąd wyjechać i osiedlać się na terenie „naszej bolszoj strony”. Mówiąc to przy absolutnej ciszy zesłańców określił, że nie wolno nam zbliżać się do frontu bliżej jak trzy tysiące kilometrów. Czas poszukiwania miejsca osiedlenia się nie może przekroczyć trzech miesięcy! Żegnajcie – jedziemy na front!

Wstaliśmy jednocześnie wszyscy, bez komendy zdjęliśmy z głów kaptury ochraniające nas przed komarami i jak każdy mógł najgłośniej odśpiewaliśmy Hymn Polski, a zaraz po nim – Rotę. Stojący przed nami enkawudziści i ci znad rzeki zdjęli czapki i stali jak posągi z mego snu w drodze na Syberię. Nie do pomyślenia, że nasi odwieczni wrogowie zdjęli przed nami nakrycia głów.

Myślałem, że serce wyskoczy z mej piersi! – radość, radość, a jednak sprawiedliwości stało się zadość! Trzymając się za ręce otoczyliśmy enkawudzystów i zaczęliśmy śpiewać piosenki i klaskać w dłonie. Tej „zniewagi” chyba było za dużo. Jeden z enkawudzystów wyciągnął nagan i zaczął strzelać do góry, aby uspokoić „zwariowanych” Polaków. Już po pierwszym wystrzale wszyscy ucichli, a najbardziej przeczni i wystraszeni upadli na ziemię, ze mną włącznie. Zdenerwowany enkawudzista zapytał: „wybieszanyj (zwariowany) naród! Dlaczego cieszy się z naszego nieszczęścia?” Dzisiaj nie pamiętam, kto mu to powiedział – wasze nieszczęście jest naszym szczęściem, ta wojna zmieni nasz los i odmieni świat, a my w tym wam pomożemy!

Enkawudziści po krótkiej naradzie wsiedli do swoich łodzi i popłynęli na front, śpiewając swoją ulubioną „Katuszę”.

Patrząc za odpływającymi życzyłem im, aby na wojnie nie ominęła ich żadna kula, myślę, że inni byli podobnego zdania, ale czy słusznie?

Czternastego sierpnia

W dniu odjazdu w zatoczce Cziczkajułu przycumowano barcę, łodzie, tratwy i kajaki wg ustalonej kolejności przez pana Berdowskiego. Przewidywano, że podróż potrwa około 10-15 dni. Na sprzęt pływający załadowano „dorobek” zesłańców i wywieszono kilka flag biało-czerwonych. Potem wszyscy zesłańcy, z najpiękniejszymi kwiatami tajgi udali się na wzgórze, gdzie z wielkim żalem, bólem i płaczem pożegnaliśmy groby najbliższych i znajomych. Najwyżej jak tylko można było przybito na pierwszym brzożowym krzyżu naszą flagę narodową.

Żegnając pozostałych (starsze i chore osoby, w tym moją babcię), obiecano zimą zabrać ich do naszego miejsca osiedlenia się. Odpływając w smutku po zmarłych i z nadzieją, z gromkim śpiewem hymnu narodowego i Roty opuściliśmy miejsce zesłania.

Po jakiejś tam naradzie brat zaproponował, abym ja pozostał. Widząc „górze” zapasów żywności, oraz na zapewnienie, że nas stąd zabiorą, bez namysłu zgodziłem się zostać do pomocy i towarzystwa.

Stojąc na brzegu rzeki, która przez zesłańców została nazwana Czarnym Jarem, żegnaliśmy odpływających. W ostatniej kolejności pożegnałem się z moim bratem, który aby dodać nam odwagi i otuchy pozostawił panu Berdowskiemu dubeltówkę z nabojami. Zostaliśmy sami, a naszym domem miała być zniszczona barka.

Nie mając soli, gotowane ziemniaki jedliśmy z kiszonymi grzybami, a różnego rodzaju „zupy” zaprawialiśmy kiszonym dzikim czosnkiem tzw. „kałbą”. Najlepiej smakowały mi gotowane ziemniaki z borówkami. Nabierając, teraz już łyżką, borówki z beczki stojącej obok szałas, zobaczyłem podchodzącego do mnie niedźwiedzia. Wystraszony widokiem tej bestii, krzyżąc i wołając o ratunek, zacząłem wdrapywać się na pochyłe drzewo rosnące nad rzeką. Niedźwiedź obwąchując szałas i nagromadzoną żywność zaczął iść na tylnych łapach w moim kierunku. Kiedy doszedł do drzewa, padł strzał. Ja słysząc przeraźliwy ryk niedźwiedzia i silny huk wystrzału, ze strachu, tracąc przytomność, spadłem do rzeki. Opowiadając to zdarzenie pan Berdowski powiedział, że po wyciągnięciu mnie z rzeki leżałem z bardzo wysoką temperaturą przez trzy dni nie odzyskując przytomności. W oczach bardzo już starego i zmęczonego człowieka widziałem łzy radości i szczęścia, gdy okazało się, że żyję. Przez kilka dni karmił mnie smacznym rosołem z niedźwiedziego mięsa.

Jeszcze przez kilka dni żyliśmy nadzieją, że przyjadą po nas, ale kiedy oczekiwanie stało się koszmarem, zaczęliśmy przygotowywać się do wymarszu. Wyciągnęliśmy turystyczny sprzęt „myśliwych”. Najbardziej zainteresowaliśmy się „muszlami”, śpiworami, które służyły do siedzenia na mrozie w oczekiwaniu na grubego zwierza. „Muszle” wykonane były z kilku warstw niedźwiedziej skóry i umieszczone zostały na szerokich nartach, których spody podbite były skórą z włosiem. Widząc drut kolczasty na zewnątrz tych „muszli”, zapytałem: po co ten drut? Pan Berdowski po krótkim namyśle

odpowiedział, że prawdopodobnie przed zaatakowaniem myśliwego przez rannego niedźwiedzia. Myślę, że rozjuszona bestia, tak łatwo nie dostanie swego prześladowcy i przyszłej ofiary. Narty „rakiety” do chodzenia po śniegu, były krótkie, szerokie i też podbite skórą z konia lub krowy.

Trzeci dzień marszu – to dzień tragedii

Spałem mocnym snem, gdy obudziłem się, stwierdziłem, że mój pan jeszcze śpi. Widząc, że słońce jest dość wysoko, postanowiłem obudzić śpiocha. Po otwarciu klapy wejściowej zobaczyłem białą, wykrzywioną twarz oraz szeroko otwarte usta i oczy. Lufa dubeltówki skierowana była w moją stronę, a na szyjce broni leżała biała ręka zmarłego. Wystraszony sytuacją, prawie sztywny ze strachu, „wprzągłem” się w pasy obu „muszli” i zacząłem iść dość szybko przed siebie. Marsz w taki sposób trwał krótko, ponieważ za zakrętem rzeki na jej wysokim brzegu zobaczyłem kilka domków.

Wziąłem dubeltówkę, naboje i zapalki od zmarłego. Dla dodania sobie odwagi wystrzeliłem raz po raz z dubeltówki. Dość długo słyszałem odbijające się echo w tajdze. Zacząłem iść ze swoją „muszlą” pod górę zbocza. Teraz dopiero doceniłem zalety skór pod nartami. Zatrzymując się na stoku zbocza nie zsuwałem się do tyłu, ponieważ hamowany byłem najeżonymi włosami. W domkach nie było nikogo. W tej sytuacji, pamiętając nauki Tita Andrejanowicza, podpaliłem jeden z nich. Siedząc przy ognisku gryzłem suchary i ssałem topniejący śnieg. Do wieczora nikt nie przyszedł po mnie, wobec tego podpaliłem drugi domek z myślą, że łunę pożaru w nocy lepiej zauważą. Przez całą noc siedząc w „muszli” z bronią gotową do strzału, ze strachu nie zmrużyłem oka.

Pierwszy dzień sam na sam ze wszystkim co mnie otaczało

Oceniając sytuację doszedłem do wniosku: zostawić zmarłego na środku rzeki i iść w poprzednim kierunku. Poza tym wolałem umrzeć ze zmęczenia w „muszli”, niż w wiecznym strachu czekać do wiosny w jednym z domków.

Na kiju zrobiłem nacięcia przebytych w marszu wspólnych dni. Dzień śmierci zmarłego zaznaczyłem krzyżykiem, za którym zacząłem „nowy kalendarz”.

Aby nie iść z powrotem, postanowiłem zobaczyć, w jakim kierunku pod lodem płynie rzeka. Grubość lodu równała się długości mojej ręki. Ze strachu dokonałem dziecinnego odkrycia. Na jednej osi, w pewnej odległości od siebie, wydłubałem jeszcze dwie studnie. Rzucając borówki do środkowej przerębli zauważyłem, jak w jednej ze studzienek wypłynęły jagody wirując na powierzchni wody. Fakt ten do dnia dzisiejszego uważam za jedną z przyczyn mego ocalenia.

Szesty dzień marszu – to dzień mego ocalenia

Przed południem z lodowej pokrywy Cziczkajułu wszedłem na zamrożoną powierzchnię dość szerokiej rzeki Czuluym. Idąc jeszcze przez kilka godzin Czuluymem, zauważyłem na wysokim brzegu rzeki unoszący się dym. Podchodząc bliżej spostrzegłem kobiety czerpiące wodę z przerębli tej rzeki. Zapytały: „malczyk ot kuda ty?”. Uradowany widokiem ludzi odpowiedziałem – „żeńszczyzny, ja Palak iz Trekowa”. Jedna z nich odpowiedziała, „eto nie wazmożna!” Zaprowadziły mnie przed oblicze sekretarza partii tej miejscowości. Sympatyczny pan o miłej powierzchowności zaproponował, abym zdjął czapkę i kożuszek. Poczęstował mnie kromką chleba i herbatą. Jedząc świeży chleb i popijając słodką herbatą, szczególną uwagę zwróciłem na portrety: Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina oraz czerwony sztandar z napisem „Proletarij Wsiech Stran Sojediniajtieś” (Proletariusze Wszystkich Krajów Łączcie się). Układając z liter wyrazy tego hasła, starałem się nauczyć go na pamięć, myśląc, że może będę o to zapytany.

Dobrodusznie uśmiechając się, sekretarz poprosił mnie, abym opowiedział, jak sobie radziłem w tajdze w tak srogą zimę! Kiedy zakończyłem opowiadanie, zapytał czyja jest ta dubeltówka i czy umiem z niej strzelać? Odpowiadając na pytanie powiedziałem, że broń zabrałem zmarłemu oraz że dwa razy wystrzeliłem, aby mniej się bać.

Na zakończenie rozmowy powiedział, że będę wychowywany przez siei/sowiet i chodzić będę do szkoły. Jednocześnie nakazał, abym się uczył „otliczno”. Pracownica siei/sowietu zaprowadziła mnie do stołówki, gdzie dostałem obiad z dwóch dań. Po obiedzie zabrałem swoją „muszlę” (ale już bez broni) i zostałem zaprowadzony na kwaterę. Tam gospodyni (później dowiedziałem się, że jest to rodzina Zinkiejewych), mająca pięcioro dzieci zapytała, dlaczego do tak biednej rodziny przysłano jeszcze mnie? Odpowiedź pracownicy siei/sowietu była krótka. To polecenie sekretarza partii. Mieszkanie mojej gospodyni było tak ubogie, że jeszcze w życiu nie widziałem takiej nędzy. Jedna izba, piec kuchenny oraz prycza, a na niej słoma, na której spała cała rodzina, przykrywając się kożuchami. Mąż mojej gospodyni, Zinkiejew, poległ podczas napaści Armii Czerwonej na Polskę we wrześniu 1939 roku.

Bezinteresowna dobroć tak biednej kobiety dla mnie była zaskakująca. Kobieta oprócz dobrego serca i matczynej troski więcej nic nie mogła dać. W jej mieszkaniu w pobliżu drzwi wejściowych spałem nadal w swojej „muszli”. Na drugi dzień, po powrocie z pracy Zinkiejewa powiedziała, że od jutra całodzienne wyżywienie mam zapewnione w stołówce. Najstarszemu synowi Gryszyce poleciła, aby zaprowadził mnie po śniadaniu do dyrektorki szkoły.

Szedłem do szkoły z rodzeństwem Gryszki. Wszyscy patrzyli na mnie i na mój dziwny dla nich ubiór. W szkole, po rozmowie z dyrektorką zostałem przez nią zaprowadzony do 5 klasy. Podczas przerwy nikt do mnie nie podchodził. Grupa chłopców z innych klas widząc samotnego zaczęła na mnie pluć, przezywać od polskich panów i bandytów Piłsudskiego. Jeden z nich podszedł do mnie i uderzył mnie w twarz. Będąc u kresu wytrzymałości, poniżonej godności, chwyciłem go za barki i zacząłem przepychać się z nim. W tej „koguciej” szamotaninie użyłem jedyne go znanego mi wtedy chwytu. Trzymając za barki przeciwnika, przewracając się na plecy przerzuciłem go nogą za siebie. Nie znając skutków takiej samoobrony zrobiłem krzywdę napastnikowi rozbijając mu nos do krwi. Poskromiony napastnik uciekł do ubikacji, a za nim jego kumple. Po lekcjach długo siedziałem w szkole, ponieważ bałem się rewanzu.

Po kilku tygodniach nauki, na jednej z lekcji historii próbowałem na ochotnika odpowiadać na pytania. Dziwny wówczas mój akcent rosyjski wywołał śmiech całej klasy. Wtedy rozgniewany, bez zezwolenia nauczycielki poszedłem do tablicy i napisałem datę panowania Jurija Władimirowicza Dołgorukiego.

W następnych tygodniach nauki, dość często, a szczególnie z ułamków zwykłych i dziesiętnych popisywałem się swoimi umiejętnościami przy tablicy.

W czasie jednej z przerw mój prześladowca postanowił zrewanżować się. Goniony przez niego wbiegłem do klasy, wskoczyłem na ławkę chwytając jednocześnie za piórnik. Rozwścieczony przeciwnik z całej siły uderzył mnie nożem (finką) rozcinając do kości mięsień kciuka prawej dłoni. Ze złości i bólu uderzyłem go w głowę drewnianym piórnikiem. Bijatykę przerwał dzwonek i wejście nauczycielki do klasy. Nauczycielka poleciła, abym poszedł do punktu medycznego. Po zeszytciu metalowymi klamerkami mojej dłoni poszedłem na skargę do NKWD. Na posterunku, płacząc z bólu i niemocy, opowiedziałem enkawudziście o zajściu w szkole. Dyrektorka szkoły zostawiła mnie w swoim pokoju i wraz z enkawudzistą chyba przez godzinę coś tym uczniom tłumaczyli. Płaczącego, z obandażowaną ręką, zabrała z tego pokoju jedna z nauczycielek i zaprowadziła do zebranych. W obecności wszystkich uczniów „nożownik” przeprosił mnie za wyrządzoną krzywdę (było to 24 grudnia 1941 roku).

Następnego dnia dziewczynki i chłopcy byli bardzo przyjaźni i serdeczni. Wychowawczyni klasy zapytała: kto chce ze mną siedzieć. Wszyscy jak na komendę podnieśli ręce. Byłem bardzo zdziwiony tak nagłą zmianą rówieśników, którzy jeszcze kilka dni temu byli tak wrogo nastawieni do mnie. Podczas przerwy podeszła do mnie uczennica Galina Pierewodczikowa i powiedziała, że pionierzy postanowili, aby ona siedziała ze mną, czy wyrażam na to zgodę? Zgodziłem się.

Podczas obiadu kierowniczką stołówki Nadzieжда Motorina, siedząc przy mnie zaproponowała, abym zamieszkał z jej rodziną, ponieważ chce mnie usynowić – zgodziłem się również.

Na lekcji języka niemieckiego jeden z uczniów nie chciał się uczyć tego języka. Przyczyną tej niechęci było to, że ojciec jego poległ na wojnie z Niemcami. Na tej lekcji wielu kolegów poparło decyzję nieszczęśliwego chłopaka. Bez namysłu zabierając głos powiedziałem, że język wroga trzeba umieć, aby łatwiej go można było pokonać. W tym samym dniu, po lekcjach nauczycielka od niemieckiego długo wypytywała mnie o mojego ojca i moje przeżycia. Niesforny uczeń do końca roku szkolnego opanował bardzo dobrze program nauczania tego języka. Po wielu latach przypomniałem sobie ten epizod z mego życia, który mógł wtedy bardzo źle się skończyć dla mnie, gdybym był dorosły – czy dziś mam rację?

W krótkim czasie zaprzyjaźniłem się z „nożownikiem” i innymi chłopakami. Byłem dla nich „bohaterem” oraz nauczycielem gier i zabaw nieznanymi wśród tamtych dzieci. Udowodniłem też, że umiem jeździć na rowerze, zostałem ich „atamanem”. Lepsi, może odważniejsi ode mnie byli tylko w pływaniu w groźnej rzece Czuluym. W moje czternaste urodziny (4 kwietnia 1942 roku), przy uroczystej ceremonii, w obecności wszystkich uczniów i sekretarza Komsomołu, przyjęty zostałem w szeregi ich pionierów. Przed wstąpieniem w szeregi uczniowskiej organizacji uczyłem się ich przysięgi i praw, jakie obowiązują pioniera. Wstępowałem tylko dlatego, że byłem lepszy od nich, a myślałem, że będąc wśród nich, uda mi się przeżyć i wypełnić przyrzeczenie złożone w drużynie harcerskiej imienia „Orła Białego”.

Pewnego dnia w drodze do sklepu po przydział chleba, jakiś nieznany pan mówiący po polsku zapytał mnie kim jestem, gdzie mieszkam i gdzie są moi rodzice. Po wysłuchaniu mnie, przedstawił się i polecił, abym jutro o godzinie 10.00 przyszedł do niego. Opowiadając o sobie nie wiedziałem, że ten człowiek, to mąż zaufania Józef Czarnecki, który wyprowadził mnie z tajgi i odmienił moje życie.

Pan Czarnecki moje dane personalne wpisywał do poszczególnych rubryk, po zapisaniu mego wyznania rzymskokatolickiego sprawdził, czy jeszcze nie zapomniałem „Ojciec nasz...”. Przed pożegnaniem się powiedział, że generał Sikorski ze Stalinem 30 lipca 1941 roku zawarł umowę, a od 14 sierpnia 1941 roku generał Anders tworzy Wojsko Polskie w Alma-Acie. Ponadto powiedział, że nie mogę być usynowiony przez ciocię Nadzię. Najbardziej ucieszyłem się z tego, że w maju pierwszym statkiem odpłynę do junaków gen. Sikorskiego. Wracając do domu zastanawiałem się, dlaczego po bijatyce w szkole enkawudzista i „koledzy” nie powiedzieli o zmianach, jakie zaszły w stosunkach

polsko-radzieckich. Dziś cel ich jest mi znany – miałem być zrusyfikowany, jeszcze dziś włos mi się jeży na głowie na taką myśl. Po pierwszej rozmowie z panem Czarneckim przestałem chodzić do szkoły, a czytałem tylko otrzymywane polskie czasopisma w domu, na głos.

W umówionym dniu „podwodą” (furmanką) pojechałem z panem Czarneckim do magazynu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, który znajdował się w innym kołchozie około 20 kilometrów od Almiakowa. W kancelarii wpisujący mnie na listę zapytał – czy jestem synem Kazimierza – komendanta Krakusów z Lidy? Przypomniał mi, że nazywa się Stanisław Pukinski. To pan jest tym, który razem z moim ojcem i jeszcze dwoma Krakusami zakopywali broń w Kowalach w 1939 roku? Ale zachowaj to w tajemnicy! Byłem dumny, że mamy wspólną tajemnicę. W magazynie zostałem elegancko ubrany, otrzymałem jeszcze zimowe ubrania, pościel i dwa pudełka żywności. Przed wieczorem razem z panem Czarneckim powróciliśmy do Almiakowa.

Ciocia Nadzia widząc mnie krzyknęła: ty nie Franik, tylko „prync”! (książę). Kupili ciebie. Miała łzy w oczach.

W pierwszych dniach maja na polecenie pana Czarneckiego miałem oczekiwać na statek „Aleksander Newski”, aby popłynąć do junaków w Spec-Gorodku koło Tomsku. Przeważnie wszyscy oczekujący pasażerowie koczowali w szałasach, aby nie spóźnić się na statek, który przypląwał i odpływał „na kapitana widzimisię”.

Szałas „poczekalnię” pomogli mi wybudować chłopcy z mojej klasy. Posiłki przynosił syn ciotki Nadzi. Nagłe pojawienie się parowca zza zakrętu i głośnie wycie jego syreny sprawiły, że prawie wszyscy mieszkańcy Almiakowa wyszli na brzeg rzeki.

Na statku wraz ze swymi podopiecznymi zajęliśmy nakazane miejsca na pierwszym pokładzie.

W Tomsku na przystani rzecznej znalazłem punkt informacyjny dla Polaków. Punkt ten obsługiwany był przez junaków ze Spec-Gorodka. Nasz przewodnik wstąpił po drodze i zameldował komendantowi domu starców w Czeremosznikach, że w dniu jego dyżuru z różnych okolic przypląnęło razem siedmioro dzieci. Jedliśmy posiłek, wiele osób interesowało się nami, między innymi była tam bardzo sędziwa, ale energiczna staruszka, o której mówiono, że była piastunką Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jedną z pań, również dostojnie wyglądająca (była to pani Zimnoch, babcia moich późniejszych kolegów: Leszka, Andrzeja i Teresy Rożnowskich z Warszawy), po usłyszeniu mego nazwiska zaprowadziła mnie do swego pokoju, gdzie zobaczyłem leżącą moją chorą babcie. – Franusiu! Zanim wyjedziesz z junakami w ciepłe strony, odwiedzaj mnie – przyrzekłem, że na pewno, jak tylko będę mógł i pozwolą mi na to.

Przed kolacją 15 maja 1942 roku znaleźliśmy się w miejscu zakwaterowania junaków, gdzie od razu można było zauważyć dyscyplinę.

Atmosfera w junakach i w mojej trzeciej grupie była wspaniała. Pracując na rzecz domu junaków i domu dziecka, ucząc się oraz opiekując się młodszymi żyliśmy nadzieją, że przygotowujemy się do tego, aby w przyszłości zostać oficerami Wojska Polskiego. Było to moje najgorętsze pragnienie, aby piękna tradycja rodzinna hołubiona od wielu pokoleń nie była tu na Syberii przerwana.

Podczas jednej z przerw opowiedziałem Jankowi Kaniowskiemu (który też znalazł się w domu junaków) swoje przeżycia i to, że wprost zmuszony zostałem, aby wstąpić do pionierów. Janek krótko powiedział – Franku! Jestem dumny z ciebie, ale o pionierach nie opowiadaj kolegom, ponieważ nie wszyscy są tu podobnej myśli jak my.

Do rozmowy z komendantem junaków w sprawie babci, ojca, brata i własnych przeżyć bardzo starannie pod każdym względem przygotowałem się. Chciałem, aby podczas pierwszej rozmowy z komendantem w sprawach osobistych wypaść jak najlepiej. W dniu rozmowy, w czasie kilkudziesięciu minut opowiedziałem wszystko o swoich najbliższych i osobistych przeżyciach. Na pytanie dotyczące dubeltówki powiedziałem prawdę. Na zakończenie rozmowy komendant powiedział, że w sprawie ojca i brata będzie interweniował w polskiej ambasadzie, a co się tyczy mnie, wyraził się, że jest zadowolony ze mnie.

W następnym dniu po porannym apelu wywołany z lekcji przez dyżurnego, miałem natychmiast zgłosić się do naszego lekarza dr. Piotrowicza. W „gabinecie” lekarskim dowiedziałem się, że stan zdrowia mojej babci jest krytyczny. Miałem niezwłocznie udać się do Czeremosznik, ponieważ babcia przed śmiercią chce się ze mną zobaczyć. W pokoju przeznaczonym dla chorych babcia, żegnając się ze mną jeszcze raz zobowiązała mnie do tego, aby jej kości w przyszłości były przewiezione przeze mnie do rodzinnego grobowca w Wawiórcie. Po raz drugi, wystraszony nakazem przyrzekłem, że zrobię wszystko, aby jej wola była spełniona. Teraz wiem, że po tylu latach, kiedy zaistniała taka możliwość, jest to po prostu niewykonalne.

Po kilku dniach, na cmentarzu, koło Spec-Gorodka, razem z babcie, w jednym grobie bez trumien, podczas bardzo dziwnego i ponurego pogrzebu, pochowano jeszcze dwoje zmarłych, między innymi prababcie Leszka...

Do radośniejszych przeżyć (jeżeli to tak można nazwać) zaliczam dzień 1 lipca 1942 roku, to jest pożegnanie najstarszej grupy dziewcząt i chłopców, którzy odjeżdżali do armii generała Andersa.

Wiosną 1943 roku, z nieznanymi nam wtedy przyczyn, w obecności junaków enkawudziści aresztowali pana majora Koneckiego i panią profesor Felzensztein. Dyskusji i domysłów na ten temat wśród personelu i wychowanków było wiele.

Na miejsce naszego komendanta, na stanowisko dyrektorki wyznaczona została nieznaną Rosjanka Anna Konstantinowna. Funkcję zastępcy dyrektorki do spraw politycznych objęła również Rosjanka Polina Mironowna.

Objęcie przez Rosjanki zasadniczych stanowisk przyjęliśmy z wielką goryczą i wrogością. Moja wychowawczyni, pani Wołosiańska uprzedziła mnie, abym nie mówił wszystkiego z życiorysu. Miałem mówić, że urodzony jestem w innej miejscowości w 1931 roku, a tego, kim był ojciec, nie wiem lub nie pamiętam. (Dzięki Ci za przestrożę, moja wspaniała Wychowawczyni!)

W pierwszych dniach swojej pracy Anna Konstantinowna personelowi i wychowankom oznajmiła, że major i profesorka zostali aresztowani za kradzież żywności przeznaczonej dla personelu i wychowanków. Po czym stanowczo powiedziała, że mamy z nią rozmawiać tylko po rosyjsku.

Nowa dyrektorka sądzi, że dla celów propagandowych, załatwiła przeniesienie nas ze Spec-Gorodka do Tomska. W Tomsku wzdłuż toru kolejowego przy ul. Róży Luksemburg 48 zostaliśmy zakwaterowani w lepszych warunkach. Radość nasza była bardzo krótka, ponieważ w pierwszych dniach maja setki podrostków „zbombardowało” nasze budynki. Zostały wybite wszystkie szyby, a wielu z nas zostało rannych szkłem i kamieniami. Od pamiętnego dnia napady na dorosłych i dzieci będących w mieście powtarzały się dość często.

W nocy jeden z naszych kolegów wykuł oczy w portrecie Stalina. Anna Konstantinowna wokół tej sprawy rozpętała piekło. W konsekwencji, w odwecie, wszystkich podejrzanych, którzy ukończyli 14 lat, skierowała do pracy w fabryce. Z opowiadań kolegów, którzy kontaktowali się z nami dowiedzieliśmy się, w jak ciężkich warunkach musieli mieszkać i pracować. Ponadto mówili, że rosyjska młodzież i dorośli szykanowali i bili ich.

Wychowankowie tego sierocińca oprócz dzieci narodowości: rosyjskiej, ukraińskiej, żydowskiej i białoruskiej, latem 1946 roku zostali przesiedleni do Polski. Będąc w emocjonalnej przyjaźni na zesłaniu, utrzymuję z niektórymi koleżankami i kolegami korespondencję i osobiste kontakty.

Na lekcji śpiewu w rosyjskiej szkole uczniowie z naszej klasy poprosili nauczycielkę, abyśmy zaśpiewali po polsku. Pierwsze wstały: Irena Wołosiańska i Jadwiga Skibowska. Na ich znak wszyscy stojąc odśpiewaliśmy kilka zwrotek hymnu polskiego, po czym Rotę. Śpiewając Rotę świadomie wszyscy razem zmieniliśmy niektóre wyrazy śpiewając: „nie będzie Moskał pluł nam w twarz i dzieci nam moskalił”. Nauczycielce i uczniom bardzo podobał się nasz śpiew – nawet zaczęli bić brawa. Radość w naszych sercach była ogromna, że mogliśmy publicznie zmanifestować swój ból i odczucia.

W sierocińcu naszym zapanowała moda na pamiętniki. Prawie każdy wpisujący się do pamiętnika wyrażał tęsknotę za Polską, mową ojczystą, rodzinnymi stronami oraz tym, że nasze zesłanie nie będzie wiecznie trwało. Nie każdy z nas przechował swój pamiętnik – z różnych względów.

Ja swój pamiętnik, w którym było bardzo dużo wpisów patriotycznych ze szczególną wrogością przeciwko Moskałom, przed podstępym wywiezieniem na Wileńszczyznę zostawiłem koledze z Lidy, który gdzieś go zgubił.

Podczas wakacji prawie wszyscy pracowaliśmy przy sianokosach, wykopkach i wycinaniu kapusty. Pewnego dnia po upieczeniu ziemniaków urządziliśmy „podwieczorek”. Jedliśmy razem z wychowawczynią pieczone ziemniaki z surową kapustą. Przy tym podwieczorku zastała nas Anna Konstantinowna. Była wściekła, że nie pracujemy, a tylko zjadamy państwowe ziemniaki i kapustę. Wyzywała nas od najgorszych. Między innymi powiedziała, że jesteśmy polskimi „parazytami” (pasożytami). Wtedy słowo „parazyt” nie było mi znane. Kiedy skończyła wyzywać, Włodek Swidwiński znając to słowo zaprotestował i powiedział, jeżeli nas nie przeprosi, to on jest gotów umrzeć z głodu niż cokolwiek jeść z jej łaski. Przez pięć dni Włodek naprawdę głodował. Zaczęliśmy go prosić i tłumaczyć mu, że nie ma sensu tu umierać z winy wrednej Rosjanki. Włodek był uparty i dalej podtrzymywał swoją decyzję do czasu jak Anna Konstantinowna przeprosiła go. Szóstego dnia dyrektorka nie wytrzymała i w obecności naszej grupy przeprosiła Włodka mówiąc, że nie wiedziała o tym, że Polacy są aż tak dumni ze swej przynależności narodowej – to dobrze!

Nowy rok szkolny 1943/1944 rozpocząłem w tej samej średniej szkole. Nie wiem dlaczego, ale wzorem roku poprzedniego dzieci narodowości polskiej siedziały zgrupowane w jednym miejscu. Mnie osobiście to odpowiadało, ponieważ odnosiłem wrażenie, że jestem w polskiej szkole.

Jak w poprzednim roku szkolnym, wieczorami nasze kółko artystyczne, powiększone o chór, dawało różne przedstawienia Rosjanom w szpitalach, zakładach pracy, jednostkach wojskowych, szkołach i sierocińcach. Najbardziej z tych przedstawień zapamiętałem spotkania w szpitalach z rannymi i okaleczonymi żołnierzami Armii Czerwonej.

Widok żołnierza siedzącego bez nóg i jednej ręki w skrzyni na kółkach wykonanych z łożysk, przemówił do mnie o okrucieństwach wojny. Tak strasznie okaleczony żołnierz ze złotą gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego, dziękując nam, za nasze przedstawienie radośnie uderzał dłońią o podłogę.

Napędzane koło wrogości i nienawiści do Polaków od dnia napadu na nasze budynki stopniowo traciło swoją siłę. Często wyczuwało się, że jesteśmy aprobowani przez ich społeczeństwo. Zawsze chodziliśmy z naszymi wychowawcami w szyku zwartym, niosąc w pierwszej czwórce naszą flagę narodową.

Pewnego dnia naszą flagę biało-czerwona niosłem na wyprostowanych rękach – tak, żeby wszyscy wiedzieli, że idą Polacy.

Dzisiaj można różnie mówić o polityce Związku Patriotów Polskich, ale tam gdzieś na Syberii w moim umyśle tkwił jeden cel – powrócić do Polski – do mojej ukochanej OJCZYZNY!

Wiosną 1944 roku nagle gruchnęła wiadomość, że nasz sierociniec będzie przesiedlony do ciepłych stron Związku Radzieckiego. Nikt nie wiedział, dokąd pojedziemy, domysłów i plotek było wiele. Rok szkolny dla dzieci polskich był zakończony 22 maja 1944 roku. Zostałem jednym z trzech prymusów, świadectwo ukończenia szkoły podstawowej otrzymałem z samymi piątkami.

Dzisiaj dnia podstawienia wagonów na wprost naszych budynków nie pamiętam, wiem, że było to po 22 maja. Na dzień ten z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy mając wszystko spakowane do podróży. Do podstawionych wagonów wg ustalonej kolejności załadowaliśmy się bardzo szybko. Kiedy nasililiśmy skromne mienie naszego sierocińca, nikt nas nie ponaglał ani poganiał. Chodziło nam o to, aby jak najszybciej pociąg odjechał, baliśmy się, że gdzieś ktoś tam nagle się rozmyśli.

Stało się, pociąg ruszył. Stojąc przy otwartych oknach i drzwiach zaczęliśmy śpiewać Rotę. Treść Roty powtarzaliśmy kilka razy, aż do momentu opuszczenia miasta Tomsk.

Podczas jazdy prawie bez przerwy wychowawcy i nauczyciele uczyli nas prawdziwej historii Polski z lat 1939-1944. Podczas tych lekcji bez żadnego skrępowania opowiadali tragedie swoich rodzin i najbliższych zadane im przez Niemców i Rosjan.

Ucząc się i obserwując z pociągu mijane miasta, wsie i piękne krajobrazy widzieliśmy biedę, bezradność Rosjan i innych narodów.

W pierwszych dniach czerwca zatrzymaliśmy się w Stalingradzie. Tragedię rannych żołnierzy, których widzieliśmy w Tomsku, należy uwielokrotnić w odniesieniu do tego, co zobaczyliśmy w Stalingradzie. Miasto było tak zrujnowane, że ci, co ocalili lub powrócili, mieszkali w schronach i piwnicach. Las dymiących się kominów (rur blaszanych) nad gruzami świadczył, że życie tu istnieje. W mieście tym transport nasz stał przez kilka dni. Wykorzystując tę sytuację, zorganizowano nam wycieczkę do miejsca, gdzie niemieccy jeńcy odbudowywali zniszczone domy. Mówiono nam, że jeńcami przestaną być z dniem odbudowania miasta. W moim wtedy odczuciu musieliby chyba pracować aż do śmierci. Później zaprowadzono nas do zgromadzonego sprzętu wojennego 300-tysięcznego zgrupowania niemieckiego, które tam 2 lutego 1943 roku dostało się do niewoli. Na powierzchni kilkudziesięciu hektarów zobaczyłem („potęgę niemieckiego wojska”): stopy hełmów wielkości kilku piętrowych budynków, pełno było ściągniętych samochodów, czołgów, armat, samolotów, stopy amunicji i innego sprzętu wojskowego. Wracając z tego „muzeum” widziałem, jak ekipy jeńców niemieckich wydobywały z gruzów i piwnic zasypane, rozkładające się ciała ludzkie – odór był potworny.

W dalszej podróży w kierunku Krasnodaru dyskutowaliśmy o tym, jak duże mogą być zniszczenia Warszawy, Wilna, Lwowa i innych naszych miast. Każda dyskusja o tym kończyła się optymistycznie, cóż, wizja szklanych domów S. Żeromskiego nam też się udzieliła.

Podczas podróży przeżyliśmy kilka tragedii. Pierwszy wypadek wydarzył się wtedy, kiedy jedna z dziewczyn (nazwiska nie pamiętam) nie zdążyła wsiąść. Podczas próby wsiadania do pociągu, kiedy jeszcze wolno jechał, dziewczyna obsunęła się pod koła i doznała zmiżdżenia nogi. Amputację poniżej kolana, bez środków znieczulających, przeprowadził doktor Piotrowicz w asyście kilku pań. Krzyk tej dziewczyny, aż do utraty przez nią przytomności, słychać było we wszystkich naszych wagonach.

Przeżyliśmy to okropnie. Następną tragedią wydarzyła się w Tichorecku. Podczas postoju na tej stacji, w jednym z wagonów, gdzie jechali młodszy od nas chłopcy, wybuchła czerwotka. Wagon z chorymi i zdrowymi chłopcami odstawiono na bocznice. W wyniku epidemii w wagonie tym zmarło trzech chłopców, między innymi Janusz Godlewski (pozostałych nazwisk nie pamiętam). W związku z tą sytuacją przez kilka dni przechodziliśmy kwarantannę. Kiedy dalszych zachorowań nie było, transport nasz ruszył do miejsca przeznaczenia, tj. do stacji Afipskiej nad rzeką Afip. Zamieszkaliśmy grupami, np.: grupa chłopców, w której ja byłem, zakwaterowana została w budynku parterowym po 4-5 kolegów w jednym pokoju.

Ogólnie jak na kolchoz i miejscowość (która była pod okupacją niemiecką) sierociniec miał dobre warunki. Budynki, w których mieszkały poszczególne grupy, oddalone były od siebie po około 100 metrów. Prawie przez całe wakacje pracowaliśmy w kolchozie na rzecz naszego sierocińca. W odróżnieniu od Syberii, pracując na poszczególnych plantacjach można było jeść bez ograniczeń pomidory, arbuzy, melony, owoce morwy, kukurydzę itp. Wśród starszych kolegów tylko jeden jedyny Edward Apanel, mimo zakazów wychowawców, nie mógł doczekać się zanim dojrzeją owoce. Pewnego dnia, kiedy pracowaliśmy w sadzie, najadł się jeszcze bardzo zielonych jabłek. To chyba była nieprzewidziana i niepotrzebna lekcja skutków niesubordynacji niedoświadczonego łakomczucha. Po kąpieli w Afipce

nasz bardzo dobry kolega Edward z bólu brzucha wił się jak piskorz. Początkowo nikt nie powiedział wychowawcy, ale widząc jego męczarnię wszyscy włącznie z dyrektorką robili wszystko, aby go uratować. Po kilku dniach nasz kolega wyzdrowiał, ale później przez dłuższy czas bał się jeść nawet dojrzałe owoce. Mieliśmy też wspaniałe warunki klimatyczne. Zimą, jeżeli spadł śnieg, to białło było przez kilka godzin. Lepsze warunki i dobroć nowej dyrektorki Anny Iwanownej Kostiuik doprowadziły do kilku chuligańskich wybryków z naszej strony. Chcąc odegrać się za napad na nasze budynki w Tomsku wymyśliśmy zabawę w „Katuszę”. Pierwszego chłopaka w Afipskiej, który nas obraźliwie wyzywał za naszą przynależność narodową, wzięliśmy do kółeczka. Chłopak otoczony ze wszystkich stron próbował uderzyć jednego z nas, wtedy my śpiewając „Katuszę”, ab); nie było słyhać jego krzyku, odbijaliśmy go od siebie jak piłkę. Śpiew „Katuszy” trwał dość krótko, po czym uprzedziliśmy go, że umiemy śpiewać dość głośno i długo. Wieść w kolchozie – gigancie o naszej „Katuszy” rozniosła się lotem błyskawicy. Od tamtej pory nie mieliśmy żadnego incydentu z miejscowymi chłopakami. Później chodzące do szkoły dziewczęta i chłopcy zaprzyjaźnili się z nami. Bardzo częste były przypadki, że zapraszano nas do wspólnego odrabiania lekcji w ich domach.

Drugi nieprzyjemny wybryk chuligański wydarzył się z drugą grupą młodszych chłopców, którzy idąc do pracy poprosili kolchoźnicę, aby dała im owoców. Nikt nie wiedział dlaczego kobieta ta obrzuciła chłopców kamieniami, raniąc dość dotkliwie jednego z nich. W odwet za to, ta sama grupa, wracając o zmierzchu z pracy, strząsnęła na ziemię wszystkie owoce w jej sadzie. Później po tym „trzęsieniu owoców” wzdłuż zagród prawie wszędzie stały kosze lub skrzynie z owocami, z których mogliśmy brać owoce wg potrzeb. Chyba uczyliśmy się wspólnie z kolchoźnikami wzajemnego tolerowania się.

Po kilku miesiącach pracy i „działalności artystycznej” staliśmy się pupilkami tej miejscowości.

W nagrodę za bardzo dobrą pracę i zachowanie się, na wniosek dyrektorki kolchozu wspólnie z ich młodzieżą pojechaliśmy na wycieczkę nad Morze Czarne. Tym razem ja z Jankiem Śnieżyckim narozrabialiśmy. Kąpiąc się w morzu postanowiliśmy popłynąć w kierunku krążownika „Iwan Groźny”. Potężny krążownik, kiedy płynęliśmy do niego, wydawało się nam, że jest w zasięgu naszych możliwości. W pewnym momencie, kiedy sił mieliśmy coraz mniej, a do brzegu było daleko, zaczęliśmy wołać o pomoc. Marynarze z krążownika widząc wołających, szalupą wyłowili nas z morza i po nakarmieniu odwieźli na brzeg. W miejscu, gdzie była nasza wycieczka, nie znaleźliśmy naszych ubrań i nie zastaliśmy wycieczki. Kiedy doszliśmy do naszych wagonów, w których mieszkaliśmy, radość koleżanek i kolegów, że my żyjemy, była ogromna. Szybko zostaliśmy doprowadzeni przed oblicze Anny Iwanownej. Wzburzona dyrektorka, po wysłuchaniu nas, początkowo z wielką złością skarciła, później przytuliła nas, mówiąc, że my – jedni z najlepszych chłopców – zrobiliśmy jej taką wielką krzywdę. Przyrzekliśmy jej, że od dzisiejszego dnia nigdy nie zrobimy jej żadnej przykrości. Wspomniana wycieczka kończyła wakacje i dość ciężką, jak na nasze możliwości, pracę na polach kolchozu.

Rozpoczęliśmy rok szkolny 1944/1945. W szkole jak w szkole, ale po nauce do zachodu słońca starsze grupy dość ciężko pracowały na rzecz sierocińca. Prace były różne, najtrudniej było przy wycinaniu lasu, rąbaniu drewna oraz rozbiórce zrujnowanego budynku murowanego. Wojna z całą swą mocą i grozą toczyła się już od kilku miesięcy na terenach Polski. Codziennie na mapie wywieszanej w świetlicy dyżurny chorągiewkami zaznaczał wyzwolone nasze miasta. Początkowo Kresowiaci (było ich najwięcej) wiwatowali wyzwolenie swoich miejscowości, a później wszyscy, kiedy została wyzwolona Warszawa.

Każdy z nas, kto tylko umiał pisać, nawiązywał korespondencję z najbliższymi żyjącymi w rodzinnych stronach. Wszyscy włącznie z dyrektorką kolejno cieszyliśmy się z otrzymanych listów. Prawie każdy po przeczytaniu listu oplakiwał kogoś z rodziny. Mój pierwszy list, który otrzymałem od Ojca siostry, wygasił mój entuzjazm z racji kończącej się wojny. Ciocia zawiadama mnie, że Ojciec jest na liście zamordowanych w Katyniu. Nie wierzyłem, że jest to prawda! Wśród wychowawców i dzieci tym zainteresowanych krążyło ciche przeświadczenie, że zrobili to Rosjanie. Nikt z nas ze strachu, że jest to prawda, nie wyrażał głośno swych myśli. Moja myśl na ten temat była taka: skoro Rosjanie uciekali pod naporem hitlerowców, to na pewno strażę też zostawiły jeńców polskich bez ochrony. W takiej sytuacji nikt chyba z jeńców nie czekałby tam na powitanie wroga!

Wtedy jeszcze myślałem dlaczego i za co dokonano tak podłej i ohydnej zbrodni na moim Ojcu i jeńcach wojennych.

W dalszej korespondencji przyjaciele Ojca z Wileńszczyzny robili wszystko, aby mnie zabrać z tego sierocińca. W jednym z listów pan Cizek-Duszek przysłał adres mego brata. Był w wojsku w Lublinie. Ponadto napisał, że jeżeli ktoś przyjedzie ze znajomych jego po swoje dzieci i będzie chciał mnie zabrać, mam się zgodzić na rzekome usynowienie. W drugiej połowie kwietnia przyjechał pan Godlewski z Lidy, aby zabrać żonę i dzieci do domu. Pewnego dnia pan Godlewski rozmawiając z nami wypytywał nas, skąd pochodzimy i jak się nazywamy. Odchodząc od nas poprosił mnie, abym odprowadził go do jego żony i dzieci. Idąc w kierunku rodziny, zapytał mnie, czy pamiętam jego syna Janusza.

Odpowiedziałem, że tak. W naszej rozmowie zaproponował, że chce mnie usynowić i zabrać w miejsce zmarłego syna.

Wiedząc z wcześniejszych listów o zamiarze wobec mnie odpowiedziałem – tak, jeżeli wychowawcy i dyrektorka zgodzą się. Odchodząc, powiedział – szykuj się na wyjazd do Lidy, tylko o tym nie opowiadaj kolegom. Cieszyłem się bardzo, że za kilka lub kilkanaście dni pojadę do swoich rodzinnych stron, a co będzie dalej, o tym nie myślałem. Na kilka dni przed zakończeniem wojny za zgodą dyrektorki, oficjalnie żegnany przez wszystkich, odjechałem do Lidy. Żegnając się ze wszystkimi oraz dziękując dyrektorce za jej wspańiałość, tylko z panem Godlewskim wiedzieliśmy, że fortel na razie się udał.

Podróż z Afipskiej koło Krasnodaru do Lidy trwała prawie trzy tygodnie. W tym czasie dowiedzieliśmy się o zakończeniu wojny. Radość moja była podwójna. W Lidzie przy ulicy Czajkowskiego 11 z rodziną tą odpoczywałem po tak ciężkiej podróży przez dobrych kilka dni. Widząc pierwszą osobę z moich kuzynów, tj. siostrę mego Ojca, ciocię Helę, rozplakałem się z radości. Ciocia Hela, dziękując państwu Godlewskim za pomoc w zabraniu mnie z zesłania, zaprosiła ich w gościnę do siebie. Jadąc furmanką z ciocią do jej domu w Radziwoniszkach chyba tylko przez godzinę opowiedziałem o wszystkim, co nas tam na Syberii spotkało oraz o moim przyrzeczeniu względem babci, tj. jej matki. Po krótkim namyśle zapytała – czy wiem, gdzie jest jej grób? – Odpowiedziałem – tak. Trzeciego dnia, licząc od zamieszkania u cioci, zjawił się milicjant, który sprawdził moje dokumenty dane przez dyrektorkę sierocińca i pana Godlewskiego oraz zapytał co zamierzam tu robić? Odpowiedziałem, że będę się uczyć oraz że wyjadę do brata, który mieszka w Lublinie. Odpowiedział „choroszo” (dobrze).

Ciocia odżywała mnie dobrze, już po tygodniu minęło zmęczenie i poczułem się nasycony.

Kiedy byłem już w niezłej kondycji, poprosił mnie do siebie pan Ciszek-Duszek. Wypytywał o warunki, w jakich żyliśmy w transporcie, w miejscu zesłania, naukę i o to, co zamierzam dalej robić. Na pożegnanie dał do przeczytania książkę „Kryżacy” i kazał przyjść za 5 dni. Książkę przeczytałem w nakazanym terminie. Odpowiadając na pytania oraz czytając nakazane fragmenty okazało się, że treść książki dobrze zapamiętałem, natomiast nie potrafiłem określić wartości literackich i precyzować wniosków. Wiedząc o moim zamiarze wyjazdu do Polski, na co usilnie namawiał, przedstawił plan wspólnego naszego działania. Przez sześć miesięcy miałem przygotować się do egzaminów z tak zwanej małej matury. Ustalony program i moje postępy miały być przez pana Ciszka-Duszka kontrolowane co miesiąc. Ponadto powiedział, że formalnościami związanymi z moim wyjazdem w grudniu 1945 roku do Polski zajmować się będzie pan Drobiazgiewicz (do września 1938 roku był nauczycielem w gimnazjum dla dzieci legionistów w Lidzie). W dalszej rozmowie uprzedził mnie, abym się nie kontaktował z pozostałością polskiej partyzantki, która jest likwidowana przez NKWD. W sprawie mego zamieszkania nie radził, abym uległ namowom dzierżawcy naszego folwarku w Kowalach, pana Jurszy. Kończąc powiedział: u cioci Heli będzie ci najlepiej.

Ciekawość moja: jak wyglądają rodzinne strony i Kowale zaspokoił brat ojca – Antoni. W jedną z upalnych niedziel ze stryjem pojechałem do kościoła w Wawiórcie. W kościele, siedząc w „naszej” ławce czułem spojrzenia parafian. Po mszy celebrowanej przez księdza proboszcza Rokickiego, który dostrzegł mnie płaczącego podczas śpiewu „Boże Coś Polskę...” – zostałem przez niego zaproszony na plebanię. Tu, w dalszym ciągu płacząc ze wzruszenia, jakiego doznałem w kościele po tak długiej przerwie (6 lat na zesłaniu), nie mogłem się uspokoić. Słowa pociechy proboszcza kierowane do wiernego syna tej parafii powodowały jeszcze bardziej gwałtowny płacz. Szklanekę wina podaną przez dobrodzieja wypilem jednym tchem. Wypite wino wyprowadziło mnie z niepomaganego płaczu i mogłem księdzu jak na spowiedzi opowiadać o swojej tragedii i przeżyciach na zesłaniu. Po wyjściu z plebanii poczułem ulgę, nie oczekując już innego niespodziewanego zagrożenia w swoim życiu.

Na obiedzie u dzierżawcy, kiedy zwracali się do mnie „paniczu, czułem się jak król, który utracił koronę. Odjeżdżając, ostatnim spojrzeniem pożegnałem dorobek wielu pokoleń, który musiałem nie z własnej woli z wielkim żalem i goryczą zostawić. Podczas ustalonych kontroli z zakresu postępów w nauce pan Ciszek-Duszek stwierdził, że w listopadzie będę mógł przystąpić do egzaminów.

Egzaminy zdawałem w obecności pana Ciszka-Duszka w Lidzie, przy ulicy Majakowskiego 25 (w późniejszych latach poznałem Jana Szadziula, męża mojej stryjecznej siostry Zosi, który tam do 1939 roku ze swoim ojcem prowadzili pracownię krawiecką).

Po prawie pięciogodzinnym maratonie egzaminacyjnym otrzymałem świadectwo, tak zwanej małej matury, z ocenami bardzo dobrymi z wyjątkiem języka polskiego. Gratulując zdania egzaminu pan Ciszek-Duszek i egzaminatorzy (było ich czterech), powiedzieli „że z tej mąki będzie jeszcze chleb” oraz zalecali, abym w Polsce kontynuował naukę. Chciałem podziękować im, jeden z egzaminatorów powiedział, to my ci dziękujemy, że z geografii oraz fauny i flory syberyjskiej opowiedziałeś nam więcej niż my wiedzieliśmy o tej nieludzkiej ziemi.

W ostatnich dniach listopada zostałem pisemnie zawiadomiony, że w dniu 1 grudnia w Lidzie, na bocznicę kolejowej, będą podstawione wagony dla repatriantów. W dniu tym od samego rana w miejscu skąd zawsze odjeżdżali Polacy, zebrało się sporo ludzi ze swoim dobytkiem i inwentarzem.

Do wagonów podstawionych w godzinach południowych wchodziliśmy wg listy ustalonej przez władze miejscowe. Mnie dołączono do jakiejś rodziny, która zapędzała do części oborowej wagonu konia, dwie krowy, chyba z pięć prosiaków w skrzyni. Ponadto ładowano ziemniaki, owies i żyto w workach oraz siano i słomę dla inwentarza na karmę w czasie podróży. Najzabawniej wyglądał wbiegający i wybiegający pies Asik, któremu najwidoczniej nie odpowiadało nowe gospodarstwo. W części „pasażerskiej” tego wagonu, gdzie zgromadzono siano i słomę, za zgodą gospodarza zająłem miejsce przez niego wskazane. Mój dobytek w walizce i plecaku składał się z zapasów żywności na około 10 dni oraz rzeczy osobistych, listów do znajomych i pościeli. W wagonach i na placu przed nimi koczowaliśmy 9 dni. Prawie każdego dnia po kilka razy dziennie i w nocy podjeżdżał gwiżdżąc parowóz, szarpał naszymi wagonami po czym odjeżdżał, nie zabierając nas. W takiej sytuacji, kiedy nikt nie znał dnia i godziny odjazdu, strach nawet było pomyśleć, aby gdziekolwiek pójść. Na pytania, kiedy odjedziemy, najczęściej mówiono „siejczas” (zaraz) lub że brak jest kompletu repatriantów. W dniu 10 grudnia, tak jak zawsze podjechał parowóz, doczepiono transport i nie zatrzymując się pojechaliśmy w kierunku Grodna.

W dniu 11 grudnia 1945 roku z wielką radością witałem przekroczenie granicy polsko-radzieckiej, a moi współpasażerowie płacząc żegnali rodzinne strony. W Białymstoku pożegnałem się z rodziną jadącą ze mną w wagonie i dalej poprzez Warszawę pojechałem do Lublina, aby spotkać się z bratem pod umówionym listownie adresem przy ulicy Kołłątaja 5.

Oczekując kilkanaście godzin na pociąg relacji Warszawa-Lublin, miałem okazję odwiedzić kuzynów i znajomych oraz zwiedzić Warszawę. W Warszawie pod wskazanym adresem ciocia Jadwiga Rosner już nie mieszkała – dom był zburzony, nikt z okolicznych ocalałych budynków o tej rodzinie nie wiedział. Tak było z pozostałymi kuzynami i znajomymi. Pierwsze rozczarowanie przeżyłem boleśnie. Widok zburzonej Warszawy przypominał Stalingrad, ale bliższa ciału koszula i dlatego z wielkim smutkiem myślałem o losie jej mieszkańców i przyszłości stolicy.

W nocy z 14 na 15 grudnia dotarłem do Lublina pod wskazany adres, gdzie od dwóch miesięcy oczekiwano mnie. Zawiadomiony brat, pełniący służbę w WOP-ie w Sobiborze, przyjechał dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia. Witając się z bratem widziałem jedyny ratunek w nim. On patrząc na mnie powiedział – co ja teraz z tobą zrobię? W Sobiborze nie możesz zamieszkać ze względu na bandy UPA. Prawdę mówiąc niewiele z tego zrozumiałem, a przede wszystkim, że wojsko boi się bandytów. Myślałem o Ali Babie i 40 rozbójnikach. Podczas wieczery wigilijnej wybawił brata z kłopotów por. Alojzy Klusko, który zobowiązał się zabrać mnie na syna pułku do swojej jednostki wojskowej przy ulicy Lipowej w Lublinie. W taki sposób los mój został związany z wojskiem – było to spełnienie moich marzeń.